

# To drugie życie \* Wielki świat Janusza Czernego \* Gdzie jesteś studencie? \* Sceny miłosne \* Krzyżówki

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

# Nadodrże

ZIELONA GÓRA 20 IV 1986 — 3 V 1986 R.  
ROK XXX NR 8 [613] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## CAŁE ŻYCIE W LESIE

Marian Skarbek

Nie każdy życiorys musi zawierać konflikty, tragedie, załamania. Zdarzają się żywoty spokojne, uporządkowane, gdzie krzywa pnie się pogodnie w górę i nie spada gwałtownie w dół, a sukcesy nie są światowe i klęski nie nazbyt bolesne. Czy takie życie, pozornie bez walki, może być ciekawe i godne opisania?

Moim zdaniem tak. Zawsze imponowali mi ludzie, umiejący żyć racjonalnie i planowo. Myśleć, że właśnie oni są solą ziemi, albo inaczej — robotnikami w wielkim, ludzkim ulu. To przede wszystkim tacy ludzie budują kraj.

Wszystkie te superlatywy bez wahania i obawy o przesadę odnoszę do człowieka, którego spotkałem przypadkiem, aby potem poznać go bliżej i zafascynować się tym, co robi. Jest on jednym z leśnych ludzi, do których i ja w młodości chciałem należeć, studiując nawet przez jeden rok leśnictwo. Nie udało się, życie moje potoczyło się innym biegiem, ale pozostała miłość do lasu i sympatia do zielonego munduru leśnika. To ostatecznie wyjaśnia moje zainteresowanie inżynierem Józefem Podsiadlikiem.

Urodził się w lesie, w Lipkach koło Częstochowy. Gajowym był jego ojciec, a także dziadek, o którym do dziś wspominają ludzie w okolicy, gdyż znał się na ziołach i umiał składować złamane kłosi. Leśny znachor. Umarł mając 83 lata, przekazawszy gajówkę synowi. W takiej rodzinie wychował się mój bohater. Las w Lipkach był jego całym światem. Nic też dziwnego, że gdy przy szła pora decyzji — jaką wybrać szkołę, obaj z bratem wybrali liceum leśne koło Bytomia. Cała rodzina już wtedy mieszkała w nadleśnictwie Zyglinek, w pobliżu Tarnowskich Gór.

Trzyletnie liceum, potem jeszcze technikum leśne w Margoninie koło Chodzieży. Wreszcie w 1951 roku Józef Podsiadlik objął swą pierwszą pracę jako praktykant techniczno-leśny, w Lipinkach, w nadleśnictwie Zary. Po roku przeniósł się do Przewozu, a następnie już jako leśniczy, do Wymiarek koło Zagania.

Ideę przez las z inżynierem Podsiadlikiem i próbując namówić go do wspomnień. W Wymiarach rozstrzygnęły się jego dalsze losy. Nie wiadomo, co zdecydowało, że zaczął przyglądać się glebie, badał ją — była wyjątkowo łsha. Przeglądał się też drzewom, które

zimą przykrywał śnieg i nie od razu można było poznać, że coś je, mówiąc dosłownie, gryzie. Gryzły je leśne szkodziaki — była to wówczas plaga prawdziwa. Wiosną, gdy dobrze przygrzało słońce i wokół budziła się zielen, te drzewa wyciągały gołe konary, niby ręce w błagalnym geście o pomoc. Trzeba kochać las, by tak właśnie go zobaczyć. Całymi dniami, czasem także nocami, myślał — co robić, by ratować drzewa, jak usprawnić pracę w lesie? Jak zmniejszyć trudności przy wyrębie i transporcie?

Podjął studia w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Górze — i ukończył je z dyplomem inżyniera mechanika. Ale jeszcze przed studiami zaczął realizować swe pomysły. Przy pierwszym miał obawy, czy wszystko się sprawdzi, odczuwał treść, jak aktor przed premierą. Ale już podczas pracy nad następnymi rozwiązaniami miał niekiedy pewność, że uda się zrobić to, co wymyślił.

Dzisiaj, gdy patrzy wstecz, nie żałuje nieprzespanych nocy spędzonych przy kreśleniu i obliczaniu. W ciągu trzydziestu lat opracował trzydzieści projektów wynalazczych, z których połowa stosowana jest obecnie w polskim leśnictwie. Jest także współtwórcą czterech patentów z zakresu zagospodarowania i ochrony lasu.

Zatrzymujemy się przed szeregiem smukłych, młodych sosenek. Cóż to za widok urocz! Jaki spokój płynie z tych nieruchomych pni, tak pięknie wymodelowanych ręką natury! Inżynier podziela mój nastrój i potwierdza to, co myślę: że las budzi w człowieku poczucie

Ciąg dalszy na str. 3



Studentki zielonogórskiej WSP: Beata Saganio i Agnieszka Treter (cnył. artykuł „Gdzie jesteś studencie?” str. 6)  
Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

## Przed X Zjazdem PZPR

## Dialogi o kulturze

Spotkałem się — z inicjatywą Podstawowej Organizacji Partyjnej przy naszej redakcji — w gronie działaczy i profesjonalnych pracowników kultury, aby porozmawiać na temat jej stanu i perspektyw, zarówno w kraju jak i w Zielonogórskim. Podstawą do tej wymiany opinii i poglądów były Tezy oraz Projekt Programu PZPR. W tekstach tych bowiem zawiera się również próba oceny tego, co w tej dziedzinie społecznego życia zostało zrobione po IX Zjeździe, jest też zarys projekcji działań przyszłościowych, ujęty oczywiście w ramy ogólnych zamierzeń, umacniania i rozwoju kultury.

Wśród dyskutantów znaleźli się publicyści, zajmujący się problematyką kulturalną, przedstawiciele muzealnictwa i stowarzyszeń twórczo-zawodowych. Członkowie partii i bezpartyjni. Ludzie kompetentni, z troską obserwujący stan kultury, zwłaszcza w naszym regionie. W ich wypowiedziach dominuje ton krytycznej refleksji, nierzad przesadnej, ale zawsze mocno osadzonej w naszych realiach. Ta konkretność spostrzeżeń i obserwacji stała się podstawą wym walorem spotkania. Towarzyszył jemu zapis, który można odnaleźć w Uchwale IX Zjazdu: „Zadaniem członków partii w środowiskach twórczych, ciałach przedstawicielskich i w społecznym ruchu kulturalnym jest reprezentowanie polityki partii i troska o konsekwentną jej realizację”.

Ponieważ publikujemy fragmenty dyskusji, która toczyła się ponad dwie godziny. Wypowiedzi są nieautoryzowane. ALFRED SIATECKI, „Nadodrże”: — Pragnę na wstępie przypomnieć, co mówi się o kulturze w Tezach i Projekcie. Dokumenty te są dość obszerne i jestem zmuszony do selektywnego potraktowania całej bogatej problematyki kulturalnej w nich zawartej. Przypomnę, iż mówi się w nich o sytuacji kultury pomiędzy IX a X zjazdami partii oraz o mawia się projekt programu rozwoju kultury. W opracowaniu tych dokumentów, opartych na wcześniejszych przygotowaniach materiałów sprawozdawczych, brały także udział: Wydział Kultury KC, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Instytut Kultury, Narodowa Rada Kultury, Radiokomitet oraz kilka innych centralnych instytucji, zajmujących się upowszechnianiem kultury.

Jeśli chodzi o okres miniony, okres „Solidarności” oraz późniejszy, to mamy tu do czynienia zarówno z poważnymi błędami, popełnionymi w polityce kulturalnej, jak i ze zjawiskami pozytywnymi. Otóż należy pamiętać, iż w 1980 roku wartość środków trwałych w kulturze spadła do 0,4 proc., co jest najniższym wskaźnikiem w gospodarce narodowej. Jeśli natomiast chodzi o tzw. produkcję wydawniczą, to w 1981 roku wydano aż o 26 proc. tytułów mniej aniżeli w roku 1980, czyli — każdy z nas otrzymał o jedną czwartą książkę mniej. Później sytuacja się poprawiła. Jeśli we wspomnianym 1981 roku na

jednego czytelnika przypadało nieco powyżej trzech książek, to już rok później liczba ta wyniosła sześć książek. Dalej — w latach siedemdziesiątych zmniejszała się drastycznie ilość bibliotek w Polsce z 52 tysięcy do 37 tysięcy. W końcowych latach siedemdziesiątych oraz na początku lat osiemdziesiątych, w okresie wrzenia społecznego i destrukcyjnych działań ekstremy „Solidarności” popełniono poważne błędy w polityce kulturalnej wobec różnych środowisk, wystąpiły zachwiania repertuarowe w kinach i teatrach, osłabła działalność marksistowskiej krytyki literackiej i artystycznej, zmniejszyło się oddziaływanie szkół wszystkich typów w sferze wychowania estetycznego...

Chciałbym jeszcze na chwilę powrócić do spraw wydawniczych, gdyż w 1981 roku założono wzrost produkcji książek jako zadanie pierwszoplanowe, co też w dużym stopniu osiągnięto. Ta produkcja wzrosła aż o 33 proc. w stosunku do roku najniższego. W ub. roku po raz pierwszy 42 nasze wydawnictwa wydały 220 mln egzemplarzy, co dało je właśnie około sześciu książek na jednego mieszkańca, choć przy okazji warto dodać, iż w NRD wskaźnik ten wynosi 10 pozycji a w ZSRR — około 12 pozycji.

Inne problemy: poważnie spadła frekwencja w kinach, choć w ub. roku notuje się poprawę. Dużą rolę w rozwoju życia kulturalnego spełnił i spełnia Narodowy Fundusz Kultury, ale trzeba też wspomnieć, iż w tym roku pomniejszył się on znacznie. Czynnikiem pobudzającym działalność kulturalną była też decentralizacja mecenatu państwowego, czego dowodem mogą być zaobserwowane pozytywne zjawiska w działaniach na rzecz rozwoju kultury przez niektóre zakłady pracy. Niemniej jednak, mamy do czynienia z kryzysem tzw. kultury zakładowej.

W dokumentach tych mocno akcentuje się potrzebę dalszego wzrostu społecznej rangi kultury, zakładając rozwój takich środków masowego przekazu jak radio i telewizja oraz system wideo kaset. Zwraca się uwagę na potrzebę zwiększenia estetycznego wychowania dzieci i młodzieży przez szkoły. Jest w tych dokumentach jeszcze wiele słusznych wniosków i postulatów, ale występuje zarazem wiele ogólnikowych sformułowań, daleko odbiegających od realiów i możliwości Polski anno 1986. Słuszne założenia nie mają, niestety, pokrycia w możliwościach realizacyjnych a skute wizje daleko odbiegają od rzeczywistości siemiennej i ubogiej. Pomijam tu plany związane z rozwojem środków masowego przekazu, do których przywiązuję się tak wielką wagę. Przecież dziś trudno o odbiór telewizyjny, mamy kłopoty z poligrafia i papierem — stąd pytanie o realność tych planów w trudnej ekonomicznej sytuacji kraju. Ale reasumując: podstawowymi w przyszłości środkami wychowania kulturalnego mają być: szkoła i telewizja. Tyle w dużym uproszczeniu. Może jeszcze warto nadmienić, iż w dokumentach zawarta jest deklaracja, iż partia będzie wspierać wszelkie poczyny kulturalne, także w okresie przyśpieszenia rozwoju kraju. Będzie się dążyć do zniwelowania różnic w poziomie kultury w różnych regionach kraju. Jest to zadanie dla działaczy kultury, środków masowego przekazu oraz twórców.

JERZY CHŁODNICKI, „Dziennik Ludowy”: — Ten projekt nie jest spójny i do końca konsekwentny. No, bo jeśli np. szkoła w symbolizmie ze środkami masowego przekazu ma dobrze wypełniać swoje zadania, to musi być dobrze wyposażona i w odpowiednie środki, jak i

w specjalistów od wychowania w kulturze i przez kulturę. A do takiej sytuacji droga jest jeszcze bardzo daleka. HALINA AŃSKA, „Nadodrże”: — Ja tak myślę, że to wszystko, co zostało tu przez Alfreda zaprezentowane jako fragmenty założeń rozwoju kultury, jest wynikiem patrzenia i widzenia świata zza biurka, z pozycji warszawiaka, siedzącego w bardzo dobrych warunkach gdzieś przy ulicy Marszałkowskiej... My, dziennikarze, którzy stykamy się z tzw. prowincją częściej i głębiej — widzimy, jak wygląda na niej kultura i jak daleko do jakiegokolwiek wyboru pomiędzy wartościami tej kultury. Sam Robert Szafranowski w wywiadzie powiedział, że gdyby mu zioła rybka zaproponowała trzy życzenia, to pierwszym byłoby pieniądze, drugim — pieniądze i trzecim — pieniądze. A przecież mówimy o Teatrze Wielkim, więc proszę sobie wyobrazić, jakie potrzeby mają inne instytucje kulturalne, zwłaszcza na odległej od centrum prowincji. Doświadczona kierowniczka jednej z zielonogórskich szkół ujawniła na zebraniu z rodzicami, że fundusz na ten rok ma obcięty o połowę w porównaniu z ub. rokiem, to jakże tu w ogóle mówić o wideo i jakiejś nowoczesności. Jeżeli szkoła zechce zakupić odbiornik telewizyjny, to tylko z funduszy składkowych rodziców. Taka jest rzeczywistość. Ta, z którą się spotykamy na co dzień.

RYSZARD ROWIŃSKI, „Nadodrże”: — Trzeba się zastanowić, jaka jest dziś

Ciąg dalszy na str. 4

# Opinie i refleksje

WFUNA

—co to jest?

Jest to po prostu angielski skrót nazwy „Światowa Federacja Towarzystw ONZ”. Federacja ta utworzona została 1 sierpnia 1946 roku w Luksemburgu. Niebawem więc przy padnie jej 40-lecie, a że ostatnia sesja Komitetu Wykonawczego tej organizacji obradowała w pierwszej dekadzie kwietnia br. w Warszawie — wydaje się, że jest to najodpowiedniejszy moment aby przypomnieć cele Światowej Federacji Towarzystw ONZ. Za swe podstawowe zadanie uznaje ona popularyzowanie i krzewienie szczytnych ideałów pokoju i przyjaźni między narodami, jakie zapisała Karta Narodów Zjednoczonych.

Polska przystąpiła do WFUNA już w 1946 r. Jej członkiem jest Polskie Towarzystwo Przyjaciół ONZ. Polska cieszy się dużym autorytetem na arenie międzynarodowej za jej liczne inicjatywy pokojowe reprezentowane w najwyższych szczeblach Federacji. Wiceprzewodniczącym tej organizacji wybrany został przewodniczący PTP ONZ, doc. Ryszard Ławnicki a jej sekretarzem generalnym jest od dłuższego czasu również Polak dr Marek Hagmayer, urzędujący stale w Genewie.

Nie jest rzeczą przypadku, że ostatnia sesja Komitetu Wykonawczego Federacji odbyła się właśnie w Warszawie. Nasz kraj bowiem najaktywniej włączył się do realizacji zadań i celów wynikających z proklamowania przez Organizację Narodów Zjednoczonych roku 1986 — Międzynarodowym Rokiem Pokoju. Jak wiadomo, jego obchody zainaugurowane zostały warszawskim Kongresem Intelktualistów. Następna doniosła impreza było Międzynarodowe Spotkanie Przyjaciół Dzieci w dniach 18-21 lutego br. zorganizowane również w Warszawie. I rzeczywiście, jakże miasto na świecie nadaje się bardziej do tego, aby być głosem obrony największych dóbr człowieka, jakim jest prawo do życia w pokoju i zapewnienie bezpiecznej przyszłości młodemu i najmłodszemu pokoleniu, aniżeli tak ciężko doświadczona wojną stolica Polski.

Polskie Towarzystwo Przyjaciół ONZ zatacza w naszym kraju coraz szersze kręgi i skupia w swych szeregach coraz większą ilość ludzi pragnących służyć humanistycznym ideałom tego Towarzystwa. Działalność tego Towarzystwa Działalność w Zielonej Górze powstała jako siódmy w kraju. Jego delegacja uczestniczyła w ostatniej warszawskiej sesji Komitetu Wykonawczego WFUNA. Oddział PTP ONZ powstał również w Gorzowie, tak że całe Środkowe Nadodrzie objęte już jest działalnością Towarzystwa. W Zielonej Górze zorganizowało ono już szereg imprez, m.in. bardzo ważną konferencję międzynarodową, poświęconą problemom ekologicznym oraz ruchom pokojowym na świecie.

Aktywnie pracuje u nas Studenckie Stowarzyszenie Przyjaciół ONZ. Działalność w ramach „Międzynarodowego Ruchu Studenckiego na rzecz ONZ” powstałego we wrześniu 1948 roku. Do ważnych imprez zorganizowanych przez nasz zielonogórski oddział SSPONZ należała sesja popularno-naukowa poświęcona problemom Czarnej Afryki. Wspomniany ruch młodzieżowy również działa w ramach i pod kierownictwem Światowej Federacji Towarzystw Przyjaciół ONZ — WFUNA. Jest to więc organizacja jednocząca wszystkie generacje ludzi uważających za swe naturalne zadanie życiowe walkę o pokój. Przy każdej okazji wskazuje ona konieczność nowego sposobu myślenia o bezpieczeństwie narodów, przeznaczenia środków pochłanianych przez zbrojenia na cele rozwoju ekonomicznego i postępu społecznego, budowy nowego międzynarodowego ładu — odpowiadającego interesom wszystkich narodów, całej ludzkości.

MICHAŁ HOROWICZ

## Wizyta w Lumelu

Przy stolikach same kobiety. Trochę zieloni w doniczkach, tu i ówdzie kolorowy plakat lub fotografia. Wydział montażowy „Lumelu”. Pisałam o nim przed dziesięć laty, jako o przykładzie hali fabrycznej widnej i przestronnej. Teraz ciasto tu, stoliki się zagęściły, bo w części pomieszczeń prowadzony jest remont.

Następny do obejrzenia — wydział obróbki mechanicznej, oznaczony symbolem A-5. Pracują tu przeważnie mężczyźni, ale najbardziej godne uwagi są roboty, czepkopodobne, jednorękie mechaniczne stwory rodem ze Szwecji. Przyjmyć popatrzeć, jak uwiązują się, niezmordowane. Jeśli dobrze zrozumiałam, to wszystko, co wytwarza się w wydziale A-5, sprzedawane jest kontrahentom w USA. Opiaczna produkcja, korzystne umowy, i pomyśleć, że kilka linowe, wyłączniki czy inne drobne rzeczy zrobione w Zielonej Górze, przydają się m.in. na Florydzie.

— Zakład nasz żyje z eksportu — mówi dyrektor Henryk Cichorek — sprzedajemy wyroby trzydziestu krajom. W ub. roku największymi odbiorcami

były, spośród krajów socjalistycznych NRD i Czechosłowacja, a spośród kapitalistycznych USA i RFN.

Czas goni, a trzeba jeszcze zwiedzić sławny klub zakładowy „Lumelu”, który w latach 1980-81 oparł się wszelkim zakusom i nie pozwolił przerobić na przedszkole. Warunki wspaniałe. Dom piętrowy w centrum miasta, korytarze z szeregiem drzwi. Ale wejść można tylko do pokoju, w którym magazynują swe lupy koła myśliwskie „Drop” i „Cy ranka”. W innych pokojach trwa remont i poza nim nic się nie dzieje.

Trzeba więc wierzyć na słowo kierownikowi klubu Janowi Jarosławowi, że miejsce to jest uczęszczane przez uradowan

## Z REGIONU

ków: impreza goni imprezę, a cały ruch rozwija się żywo, zgodnie z niezwykle interesującym programem.

Tańce zespołowe dla dzieci. Kursy kroju i szycia oraz gotowania. Herbatki dla emerytów, brzdą dla średniego pokolenia i disco dla młodzieży. W piwnicach sale na zabawy i uroczystości rodzinne, na piętrze studio plastyczne, klub seniora i „praktyczna pani”. Teniś i inne sporty. Współzycie z Zielonogórskim Ośrodkiem Kultury, Młodzieżową Wszechnicą Dziennikarską ZSMP i Związ-

kiem Hodowców Kanarków. Spotkania z kosmetyką, gastrologiem i seksuologiem. Rock, humor, piosenka i muzyka Micki na video. „Andrzejkowe filtry” i „Wieczory w Kokosie”. Dla każdego coś miłego.

Dziennikarka z Warszawy podsunęła mikrofon trzem pracownikom wydziału montażowego z pytaniem, czy chodzą do klubu. — Nie — brzmiała odpowiedź, nigdy tam nie byli, nawet nie wiedzą, gdzie klub się mieści. Należy sądzić, że dziennikarka po prostu źle trafiła, zdarsza się.

Kultura w zakładzie, to nie tylko to, co się dzieje w klubie. Załoga „Lumelu” wraz z Ośrodkiem Badawczo-Rozwojowym liczy 1520 osób i jasne, że wszyscy z klubu korzystają nie mogą. Ale jeżdżą na urlopy, chodzą do kina. Nie chodzą do teatru ani do Filharmonii, dlaczego? Byli kiedyś w teatrze całą grupą, siedzieli dość blisko sceny, mimo to nie rozumieli ani słowa, a nie są przecież głusi. Teatr i filharmonia uważają za miejsca nudne, odmawiają przyjmowania biletów.

Z wydatkowanych w ub. roku na kulturę dwóch i pół miliona, półtora miliona zł poszło na działalność w klubie, a milion na organizowanie życia w ośrodkach wypoczynkowych: w Niesulicach, Drzonkowie (— Koniki, bryczka, to ludzie lubią!), Jagniatkuwie i Ustroniu Morskim. W ub. roku wszystkie dzieci lumelowskie część wakacji spędziły

w NRD. W tym roku wydatki na kulturę bardzo wzrosły, ponieważ sam tył koszt remontu budynków wyniósł około pięciu milionów.

— Jak się czujecie w reformie? — padło dziennikarskie pytanie. Dyrektor Cichorek odrzekł, że świetnie i dodał, że w „Lumelu” stosuje się zasadę kolektywnych dyskusji i kolektywnego zarządzania oraz indywidualnego kierownictwa, przy właściwym podziale odpowiedzialności i kompetencji oraz przy wzorowej współpracy z organizacjami: partyjną, związkową i młodzieżową.

Powiadczli o sekretarzu KZ PZPR tow. Ryba, przewodniczącym związków zawodowych Ryszard Wołosiecki przewodniczący zarządu zakładowego ZSMP Miroslaw Mrówczyński. — „Lumel” łączy do brą produkcję z dobrą działalnością społeczną i kulturalną wewnątrz zakładu — powiedział na zakończenie sekretarz KW PZPR Zygmunt Stabrowski.

Wizyta w Lumelu odbywała się na godzinę przed rozpoczęciem obrad plenarnych Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze, poświęconych kulturze zakładowej.

Kierownik Jarosz tryska energią i po rmysłami, to widac, mógł więc pobudzić dziennikarzy, wolno mu. Ale to samo powtórzył w dyskusji na plenum KW, powinno więc w tym być sporo prawdy. Dziennikarze warszawscy może nie, ale ja wpaść kiedyś i sprawdzić, czy nie „połał wody”, wolno mi.

HALINA ANSKA

## Za Odra

Kooperacja z Polską

W ramach podpisanych umów, w roku bieżącym rozszerzona zostanie znaczna kooperacja między naszymi krajami, zwłaszcza w takich dziedzinach jak maszyny budowlane i poligraficzne, armatura przemysłowa, pompy i sprężarki, wyposażenie okrętowe, aparatura medyczna, tabor kolejowy i motoryzacyjny, maszyny rolnicze. Odbywać się też będzie wymiana wyrobów i wyposażenia hutniczego.

Główną pozycję w dostawach polskich na rynek NRD-owski stanowią będą maszyny i urządzenia a także specjalistyczne usługi budowlano-montażowe. Dostawy paliw, surowców i materiałów stanowią będą około 20 proc. ogólnych obrotów handlowych między naszymi krajami. Polska dostarczać będzie mianowicie węgiel, koks i siarkę a także środki ochrony roślin, barwniki, materiały pomocnicze dla przemysłu włókienniczego, papierniczego i skorzanego. Kraj nasz dostarczy też do NRD kompleksowe systemy automatyki przemysłowej, wyposażenie dla kopalni odkrywkowych i urządzenia dla cukrowni. (Pomijam tutaj dostawy odwrotne, gdyż za daniem tej rubryki jest informowanie o tym, co się dzieje u naszego zachodniego sąsiada).

Jak już wspomnieliśmy na wstępie, szczególną rolę w procesie wzajemnej współpracy pomiędzy naszymi krajami odgrywa rozwój specjalizacji i kooperacji. Na ten rok wytypowanych zostało 130 wyrobów, które objęte będą specjalnymi umowami. Ogółem dostawy z Polski do NRD wyniosą w tym roku 1,083 milionów rubli, co oznacza zwiększenie ich wartości w porównaniu z rokiem ubiegłym o 17,6 procent. Świadczy to o znacznym zwiększeniu się naszych możliwości eksportowych na rynek NRD-owski. Prasa i inne środki masowego przekazu Niemieckiej Republiki Demokratycznej z zadowoleniem odnotowują to ożywienie wymiany handlowej i współpracy gospodarczej między naszymi krajami.

## Ceny i praktyka rynkowa

Konsument w NRD rzadko kiedy dowiaduje się o zmianach cen w swym kraju. Jest to rezultat stałego i pobawionego napięciem zaopatrzenia ludności w żywność i inne ważne towary powszechnego użytku. Podaż tych towarów na rynku NRD nie jest stała, chociaż teoretycznie jest zróżnicowana. Lepiej zaopatrzone są duże miasta i wielkie aglomeracje przemysłowe, gorzej małe miasta i osiedla. Dotyczy to zwłaszcza artykułów żywnościowych, takich jak: świeże mięso, mięso i jego przetwory, warzywa i owoce, których na prowincji często brakuje, zaś oferowana ich jakość oraz asortyment budzą wiele zastrzeżeń. Na ten stan składają się częściowo oszczędności w transporcie, wyrażające się w praktyce zmniejszoną częstotliwością dostaw. Na ogół jednak utrzymuje się ciągłość sprządarzy z bogatego asortymentu towarów spożywczych, nie tylko podstawowych. Urozmaica się również asortyment rynkowych artykułów przemysłowych. Obróty nimi wzrastają, ale oferowane są one po wyższych cenach, wyprzedzających rzeczywiste podniesienie standardu, produktów rynkowych, poprawę ich trwałości, nie zawodności i walorów użytkowych. Nierzadkie są przypadki pogorszenia jakości produktów na skutek niedużych zmian konstrukcyjnych oraz

niewłaściwie realizowanego programu oszczędnościowego a także stosowania substytutów materiałowych. Zmiany te, wyrażające się oferowaniem przez rynek NRD tzw. wyrobów zmierzniżowanych bądź uszlachetnionych dotkliwie odczuwają nabywcy. Kupować nie musi po wyższych od dotychczasowych cenach. Dotyczy to szerokiego wachlarza artykułów przemysłowych trwałego użytku, od najbardziej podstawowych po to warty luksusowe, jak np. sprzęt elektro techniczny, elektroniczny, w tym radio, telewizory, zwłaszcza kolorowe i in. Po dołbie na przestrzeni ostatnich lat adro zało obuwie, zwłaszcza firmy „Salaman dra”, której wyroby cieszą się niesłabnącym wzięciem, a także meble, akcesoria domowe itp. Charakterystycznym zjawiskiem dla rynku wewnętrznego w NRD jest gwałtowny rozwój sieci placówek, m.in. butików, oferujących bardzo atrakcyjne towary powszechnego użytku, ale po cenach często niedostępnym dla przeciętnego nabywcy. Nie na jego kieszeń są też sklepy „Exclusive”, których liczba w ostatnim okresie niewspółmiernie wzrosła. Ceny artykułów sprzedawanych w tych placówkach są często dwu- lub trzykrotnie wyższe od cen podobnych artykułów, lecz o standardzie podstawowym. Analogiczne zjawiska w dziedzinie wyrobów żywnościowych mają tzw. Feinkosty, koncentrujące sprzedaż wysokiej jakości wędlin, artykułów kolonialnych, spirytualii, serów, przetworów rybnych, konserw mięsnych, w zasadzie niedostępnych w powszechnej sieci handlu detalicznego.

## W heldzie ofiarom hitleryzmu

W NRD otacza się wciąż nie tylko miejsca straceń i męczeństwa ofiar hitleryzmu w latach drugiej wojny światowej. Żywa jest tam również pamięć bojowników, którzy padli z rąk faszystów w okresie poprzedzającym wojnę.

Niedawno np. w Eisenben uczczono trzech młodych robotników — mieszkańców tego miasta — którzy zostali zamordowani przez bojówki spod znaku SA w dniu 12 lutego 1933 r. Stało się to na terenie hali sportowej, gdzie odbywało się zgromadzenie przedwyborcze zorganizowane przez Komunistyczną Partię Niemiec. Imiona zamordowanych bojowników — Hansa Seidela, Otto Helma i Waltera Schneidera noszą dziś trzy szkoły zawodowe istniejące przy dużym kombinacie w Mansfeld.

## Książki dla uniwersytetu w Lund

Uniwersytet w Lund (Szwecja) od wielu już lat utrzymuje przyjacielskie stosunki z uniwersytetem w Greifswalde (NRD). Niedawno konsul NRD w Szwecji Manfred Schmidt przekazał Instytutowi Germanistyki przy uniwersytecie w Lund 300 dzieł z zakresu literatury naukowej oraz beletrystyki. Obie uczelnie już od wielu lat wymieniają publikacje z obu krajów.

## 10 lat więzienia za szpiegostwo

Przed Najwyższym Trybunałem Wojskowym NRD stanął obywatel RFN Hans-Werner Margis. Akt oskarżenia zarzucał mu rozległą działalność na rzecz wojskowego wywiadu RFN (Bundesnachrichtendienst — w skrócie BND). Werner na zlecenie BND wielokrotnie przekraczał granice NRD w charakterze turysty, kupca zwiedzającego Targi Lipskie itp. występując pod fa-

szywym nazwiskiem Rosert. Głównie je go przestępstwo polegało na pełnieniu funkcji łącznika ze szpiegowską ostatecnie siatką szpiegowską działającą w NRD. Za swoją działalność otrzymał od BND ogromne wynagrodzenie. Trybunał skazał Margisa-vel Roserta na 10 lat pozbawienia wolności.

(Alfa)

## Za Łabą

Obywatel w sieci komputera

Zachodniemiecki parlament uchwalił tuż przed Wielkanocą pakiet siedmiu ustaw wywołujących namietne spory od miesięcy. Celem tej inicjatywy jest wprowadzenie, z dniem 1 kwietnia przyszłego roku, nowego — nie dotychczas — stażowania i pozwalającego na mechaniczne odczytywanie przez komputer — dowodu osobistego, z dniem 1 stycznia 1989 roku również podobnego — też w formie karty plastikowej z zakodowanymi danymi — paszportu typu EWG. Równocześnie zmieniono lub uzupełniono ustawy o ochronie danych i działalności służb bezpieczeństwa z tzw. Urzędu Ochrony Konstytucji (Verfassungsschutz), uregulowano w formie ustawy działalność kontrwywiadu wojskowego (MAD), zmieniono przepisy kodeksu drogowego w dziedzinie dostępu do centralnego rejestru o pojazdach mechanicznych i ich użytkownikach, stworzono podstawy prawne wymiany danych pomiędzy policją i innymi służbami w skali krajowej i międzynarodowej. Ustawy te nazywane przez jednych „dziełem stulecia”, przez innych otwarciem bram do państwa totalnej kontroli i nadzoru — stały się i są nadal przedmiotem zażartej dyskusji społecznej. Chodzi bowiem o ochronę lub ograniczenie elementarnych praw obywatela, zwłaszcza prawa do zachowania sfery prywatnej wobec wszechobecnych służb i komputerów; o skuteczniejszej zwalczanie przestępczości — jak chcą zwolennicy lub rozciągnięcie nieprzekłonnej, wymykającej się spod wszelkiej kontroli i nadzoru sieci podjętych i inwigilacji — jak twierdzą przeciwnicy nowych ustaw. Podaje się przy tym dane udostępnione przez kontrolę komisji parlamentarnej w danych komputeru bawarskiego urzędu do spraw ochrony danych. Wśród mniej lub bardziej groźnych przestępstw zarejestrowano tam 3-letnie dziecko zapisane za rzekomą kradzież w sklepie. Inny przestępca notowany jako sprawca „umyślnego naruszenia nieetykalności cielesnej i stałego znęcania się nad podopiecznym” miał latek pleć, a jego kolega „podpalacz” lat siedem, 84-letni mężczyzna znanymi tylko chyba najbliższymi sąsiadom zanotowany został z nowodu „przygotowania wojny napastniczej” a trzej mieszkańcy — według kartoteki komputerowej monarchijskiej policji — donusili się przestępstw, jeszcze przed urodzeniem. Te i podobne wypadki będące na prostu pomysłami lub wynikiem nieszczęśliwych czy niekompetencji są jednak przede wszystkim skutkiem wiekszego zaufania funkcjonariuszy do komputera niż do własnej głowy i w świetle nowych ustaw stała się konkretnym i dużym niebezpieczeństwem dla szarego obywatela będącego ofiarą takiej nomyki wszechobecnej sieci komputerowej policji i służb wywiadowczych w RFN.

(Beta)

## „Mania

kollekcjonerska”

Pod tym ironicznym tytułem tygodnik „Der Stern” publikuje artykuł, w którym zarzuca Federalnemu Urzędowi Ochrony Konstytucji, że przy gromadze-

niu informacji o obywatelach, przekroczył wszelkie granice dopuszczalności. Tak np. jeszcze 1983 r. w kartotekach Urzędu figurowały dane o uczestnikach pokojowego marszu wielkanocnego z 1987 roku, chociaż według przepisów po upływie 15 lat powinny one być usunięte. Znajdowały się tam również — działający ruch pokojowy, które przekroczyły już 70-ty rok życia — mimo, że wytyczne przewidują usunięcie wóć czas ich nazwisk z kartoteki.

Jak stwierdza na podstawie danych zdobytych z poufnego raportu — ze swojej „manii” kollekcjonerskiej panowie z FUOK — nie wyłączyli również przedstawicieli oficjalnych partii i organizacji społecznych. I tak np. w swoim czasie sporządzono listę uczestników pewnego sympozjum naukowego odbywającego się pod patronatem ówczesnego premiera Hessja — Alberta Osswalda. Wtedy też założono kartotekę z nazwiskami obywateli RFN, którzy objęli patronat nad uchodźcami chilijskimi. Innym razem odnotowano nazwiska monarchijskich funkcjonariuszy związków zawodowych, ponieważ skrytykował udział w Monachium odmowę udostępnienia pomieszczenia na spotkanie autorskie z postępowym pisarzem Franzem Kroetzem.

Z innych przykładów zasługuje na uwagę włączenie do kartoteki nazwiska pewnego deputowanego do Bundestagu, ponieważ na tzw. „Warburskim Forum” wygłosił przemówienie p.t. „Bez rakiet — w Europie”. Przedmiotem obserwacji uczyniono też monarchijską, tzw. „Inicjatywę Demokratyczną” a zupełnie niedawno odnotowano w kartotece nazwiska polityków z „Partii Zielonych”, którzy na konferencji prasowej wystąpili przeciwko rozmieszczeniu w RFN broni nuklearnej.

(h.)

## Większe sympatie dla Gorbaczowa niż

Reagana

W kolejnej ankiecie przeprowadzonej na zlecenie tygodnika „Stern” postawiono m.in. pytanie o popularność przywódców dwóch supermocarstw. Na pytanie „czy o radzieckim przywódcy partii Michaiła Gorbaczowie ma pan(i) w sumie dobrą opinię czy przeciwną?”, odpowiedziało w grudniu 1985 r. dobrą opinię — 42 proc. niedobłą — 14 proc. niezdecydowani, brak zdania — 44 proc. Podobne pytanie dotyczyło Reagana. Dobłą opinię o nim miało 24 proc. obywateli RFN, niedobłą — 45 proc. a niezdecydowanych było 31 proc.

(x)

## Coraz wcześniej na emeryturę

Raptnie rośnie w RFN liczba osób, które możliwie jak najwcześniej rezygnują z pracy zawodowej i przechodzą na emeryturę. O ile w 1973 r. z emerytury lub renty korzystało 23 proc. wszystkich mężczyzn w wieku 60 lat, to w 1979 r. odsetek ten wzrósł do 34 proc. a w 1984 r. wyniósł aż 52 proc. Podobnie kształtowała się sytuacja wśród kobiet, gdzie wskaźnik emerytek wzrastał odpowiednio z 39 proc. do 52 proc. i do 65 proc. Daje to już niejaki wyobrażenie o obciążeniach budżetowych Federacji na rzecz ludzi w wieku poprodukcyjnym.

(s)

Jak tylko sięgnąć pamięcią — Wiktorscy wędrowali i wojowali. Dziad Pawła miał 28 lat, kiedy z wystraszoną kosą pod generałem Antonim Jeziorańskim ruszył na Moskal. Ojciec w dwa lata po ślubie zaciągnął się do 51 litewskiego pułku piechoty i z języczkami poddany jego cesarskiej wysokości Mikołaja II czekał końca tamtej wojny w Kriessgefangenlager. Śladami dziadka i ojca szedł Paweł, zwiedzając Warszawę, Żyrardów, Włodzimierz Wołyński, znowu Warszawę, by w końcu zapisać się na medycynę weterynaryjną, choć od dziecka w głowie mu było tylko wojsko dosiadające konskich grzbiotów. Zapewne Paweł skończyłby studia w terminie, gdyby w marcu 1939 r. nie wysiadł z pociągu na stacji w Skierniewicach, gdzie stacjonował jego 26 pułk artylerii lekkiej im. Władysława IV. Po roku bez dwunastu dni był artylerzystą; w przekonaniu, że guzika nie oddamy, bronił kurcząc się w Wielkopolski, a kiedy ziemi wolnej zabrakło pod opuchniętymi stopami, zaklął się, że nie pójdzie do wędrownian. Pieć lat, siedem miesięcy i jeden dzień cierpiał na chorobę drutów kołczastych w

sania, moczył pióro i wtedy rozlegał się telefon: wzywają do chorego zwierzęcia. Kiedy w roku 1970 Zarząd Główny Zrzeszenia Lekarzy Weterynaryjnych ogłosił konkurs na pamiętniki, doktor Wiktorczyk wybrał na miesięczny urlop i postanowił, że zdecydowanie wraca do pisania. Pisał w podchorążówce, pisał w oflagach, pamięć ma doskonałą, przeżył, bo nie pisał tak jak zamierzał. Po dwóch latach ogłoszono wyniki konkursu. Paweł Wiktorczyk z Zagania dostał specjalną nagrodę literacką. Zachęcony wyróżnieniem postanowił wziąć udział w konkursie Wydawnictwa MON i redakcji „Kultury” na pamiętniki żołnierzy, ogłoszonym w 30 rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego. Trochę się zastanawiał, bo konkurs z okazji jubileuszu wojska ludowego, a on był żołnierzem sanacyjnym i polski forces. Ale napisał aż dwa wspomnienia — wrzesień i ofiarę, dostał za nie aż dwie nagrody. Pułkownik Zbigniew Żalusiński, prze-

z którego widok na kamieniczkę, biografia jak przekupki opinające klasztor augustianów, konwikt, spichlerz klasztoru, klasztor po francusku, kościół św. Piotra i Pawła, dawne kolegium jezuickie, kościół cmentarny, kościół św. Ducha, kościół św. Krzyża, kopiec Bożego Grobu, wieża kościoła poewangelicznego, pałacyki, mury miejskie. „Tak tego miasta nie opuszczę. Jest w nim część mego życia, mojej pracy, zawsze miłobrodnej, ale tu najbardziej świadomej dojrzałości. Tutaj jest mój dom”.

W 1980 r. wydawnictwo „Książka i Wiedza” ogłosiło konkurs literacki z okazji 60. rocznicy odzyskania niepodległości. Paweł Wiktorczyk, który pisał książki „Trzy progi młodości” i „Myśl, która ją zechce wydać. Ogródnik”, bo liczący ponad 600 stron, maszynopis posłał na konkurs i ku swojemu zdziwieniu został jednym z dwu głównych laureatów. Kiedy jesienią 1981 r. książka się ukazała pod zmienionym tytułem „Lot nad kołyską”, posypały się recenzje. Jako pierwszy odezwał się Telewizyjny Informator Wydawniczy, zapowiadając „Lot...” w rubryce „książka

kołyska” powinien być aplikowany wstyż stym młodym prozom, jako klasyczny dowód na to, że nie forma ani pozór nie przesłaniają jakości literatury, że nie regulują ich tamienie są receptą na artystyczny sukces, lecz najzwyklejszy talent i mądrość, ten owe COS, co mamy do przekazania tym”. Ze zdaniem Markiewicza zgadza się Barbara Biegańska i dodaje, że „Wiktorczyk nie agituje. Nie ma u niego zawziętej psychologii, użalania się nad ubożstwem, czy zazdrości wobec żyjących na wyższym stopniu Wiktorczyk po prostu pisze, że robotnik Leksarski miał taką a taką pracę, tyle zarabiał, tak mieszkał, na to i na to było go stać. Bez moralizacji, bo uniósł czytelnik sam sobie wyobraźnię, mając dostateczną ilość informacji. „Lot nad kołyską” dostarcza niezbędnych do tego szczegółów, które za zwykłej, ze względu na ograniczoną objętość, w podręcznikach historii jakoś już się nie mieszczą”. Ale i zwyczajni czytelnicy patrzą na „Lot...” inaczej, odnajdując w książce złote myśli. Autor listu z Warszawy twierdzi: „Pan wicepremier na jednym ze spotkań wyraził

## GALERIA EKSLIBRISU W ZARACH

Inicjatywa Zarskiego Towarzystwa Kultury zaowocowała nową placówką upowszechniania sztuki. Miasto otrzymało drugi, obok działającego od lat Zarskiego Salonu — Wystaw Artystycznych salon sztuki — galerię ekslibrisu. W roku bieżącym mija 470 rocznica powstania pierwszego polskiego ekslibrisu. W wiedeńskiej oficynie Hieronima Wietora, w roku 1516, wykonane drzeworytniczo ekslibris herbowy dla Małżeja Drzewieckiego, kanclerza wielkiego koronnego, prymasa Polski, humanisty i bibliofila. W roku następnym ten sam Wietor, drukarz z Lubomysla na Śląsku, wytoczył drugi ekslibris dla Drzewieckiego. Te dwa ekslibrisy uważane są za pierwsze znaki książkowe na ziemiach polskich. Polska należy do krajów o najstarszych tradycjach ekslibrisowych, a za ojca polskiego ekslibrisu uznany został Hieronim Wietor,

## Galeria Ekslibrisu



Rys. STANISŁAW ANTOSZ

wielce zasłużony drukarz, z którego oficyny wyszło wiele znaczących dla piśmiennictwa polskiego, wspaniałych druków.

Tak, jak w dawnych wiekach, tak i dziś powstają miniaturowe arcydzieła sztuki granicznej. Polski ekslibris osiągnął bardzo wysoki poziom artystyczny, a zainteresowanie tą dziedziną sztuki stale rośnie. Świadectwem żywości zainteresowań ekslibrisowych w Polsce są liczne kolekcjonerzy, duża liczba wystaw, konkursów, często ukazujące się wydawnictwa ekslibrisologiczne. Polskie kolekcje ekslibrisów budzą szerokie zainteresowanie na świecie, a o posiadaniu polskiego dzieła sztuki ekslibrisowej zabiegają czołowi znawcy przedmiotów. W Polsce odbywają się światowe imprezy ekslibrisowe, ze wspomnianym międzynarodowym Kongres Ekslibrisu w Krakowie i Międzynarodowe Biennale Ekslibrisu Współczesnego w Malborku.

Ogólnokrajowy ruch miłośników ekslibrisu i tych zreszczonej w Polskim Towarzystwie Miłośników Ekslibrisu, i tych niezrzeszonych, od lat prezentuje na licznych wystawach dorobek twórcy graików w tej dziedzinie sztuki. W kraju działają galerie stałe i okresowe, organizujące ekspozycje znaku książkowego.

Zatęka galerii, placówka o zasięgu ogólnopolskim, pragnie przeobrazić w cenny ekslibris i kolekcjonerstwa, które stanowią artystycznie uwalniające go gawro kultury narodowej i historii człowieka odziedziczonego w siołach społecznej.

Ile kolekcji ekslibrisu istnieje w naszym kraju? Duże i opracowane zbiory posiadają Biblioteka Narodowa i Jagiellońska, Ossolineum i biblioteki Warszawy, Torunia, Poznania, Wrocławia, Koszalina i Zielonej Góry. W wielu muzeach są gromadzone zbiory księgozbiorków. Znaczące zbiory posiadają kolekcjonerzy: Andrzej Ryszkiewicz i Jerzy Giżycki z Warszawy, Przemysław Michałowicz w Poznaniu, Norbert Lippóczy w Tarnowie, Romuald M. Łuczynski i Wiktor Dziubiński we Wrocławiu, Józef L. Czoszka w województwie, Andrzej Gauda w Lublinie. Nie sposób wymienić wszystkich, nawet tych znanych. Niestety, nie ma w kraju pełnej dokumentacji kolekcji ekslibrisów. Oby taka kartoteka powstała za sprawą zarządcy placówki.

Księgoznawstwo jest nierozdzielnie związane z książką i biblioteką, to też galerię zorganizowano w najbardziej reprezentatywnej sali zarskiej księżnicy. Współtwórcą galerii jest Zarskie Towarzystwo Kultury, co też nie jest dziełem przypadku. Ekslibris jest dziełem sztuki, a jego twórcą i kolekcjoner działaczem kultury.

ciąg dalszy na str. 9

## To drugie życie

Alfred Siatecki

Hadamarze i Murnau, jak tysiące kandydatów do medali „Za udział w wojnie obronnej 1939”. A kiedy długa noc wojny dopadła się, wybrał Drugi Korpus, z którego pomaszczował na uniwersytecie bolonjski, by skończyć studia weterynaryjne i obronić na bardzo dobrej pracy doktorskiej.

W styczniu 1948 r. podporucznik doktor Paweł Wiktorczyk, już ożeniony z żoną Barbarą „Batory” przybył do Gdyni i w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym powiedział, że pilnie mu do Warszawy, bo gdzie by indziej, skoro on warszawiak z urodzenia, żona warszawianka, pol rodziny najbliższej w Warszawie. Tak tylko Paweł Wiktorczyk mówił, w rzeczywistości w Warszawie już nie miał żadnej rodziny; cała rodzina przeniosła się do szczęśliwie ocalałego Skolimowa. Sześć lat pracował w warszawskiej spółdzielni weterynaryjnej i Centrowecie, codziennie dojeżdżając ze Skolimowa. Dla kwaterunku stołecznego weterynarz nie był najniezbędniejszym fachowcem. W skolimowskim domku robiło się coraz ciśniej, więc Wiktorczyk, a było ich już czworo, postanowili wywędrować do Słupska, gdzie o mieszkaniu było bardzo łatwo. W 1959 r. zarabki kierownika okręgowego Centrowetu były niewielkie, nie wystarczały na utrzymanie rodziny, dlatego Wiktorczyk przeprowadził się do Tuchna w Koszalińskie i został kierownikiem przychodni weterynaryjnej. Prawdę mówiąc był to jeden z powodów; w Słupsku czepiano się, że „dyrektorem państwowego przedsiębiorstwa jest sanacyjny oficer („a wszyscy wiedzą, czym była sanacja”), oflagowiec („a wiadomo, jakim reakcyjnym środowiskiem były oflagi”), a andersowiec („a tam służyli sami faszysty”) — o czym informował podwładny Pawła Wiktorczyka, były sierżant Armii Czerwonej, czołnek ZMP i członek partii. W Tuchnie jak u Pana Boga za piecem, ale córki Zuzanna i Joanna rosły, do najbliższej szkoły średniej w Wałczu daleko. Nie było innego wyjścia, Wiktorczyk przenosił się do miasta.

W Zielonej Górze doktor Paweł Wiktorczyk został zastępcą kierownika wojewódzkiego zakładu weterynarii, właśnie wtedy córki zdały egzaminy wstępne i bez protekcji dostały się na studia. Dwie panny w wielkim Wrocławiu potrzebowały pieniędzy; skąd brać te złotówki, jeśli pensja zastępcy niższa niż pobory lekarza powiatowego. Zal rozstawać się z miastem wojewódzkim, jednak trzeba wybierać posadę powiatowego lekarza weterynarii w Zaganiu. Był to rok 1970. W 1975 doktor medycyny weterynaryjnej Paweł Wiktorczyk przeszedł na zasłużoną emeryturę. Miał dopiero 62 lata i jeszcze trochę mógł zwałować grzbiem w powiecie zagąmskim, gdyby nie było kasztanami Alei Ujazdowskich i bzami Ogrodu Botanicznego.

Został w Zaganiu. Czasem jechał do stolicy, spotykał się z kolegami, a oni pytali go, dlaczego nie wraca, skoro jest warszawiakiem. On na to: „Warszawę kochać cały naród. A kto ma wiazać się uczuciowo z małymi dziećmi? Są tacy, którzy nawet nie wiedzą, że takie miasta istnieją. Praca i polskość rosną nie tylko kasztanami Alei Ujazdowskich i bzami Ogrodu Botanicznego”.

Prawdę mówiąc Paweł Wiktorczyk bardzo chciał być emerytem. Twierdził: „Będzie czas na książki i pisanie, bo nie sposób oderwać się od czegoś, co pozwala uratować w sobie entuzjazm harcerza i nonszalanę podchorążego, beztrudnego studenta i fason oficera. Pozwala zachować godność jeńcy, umiar lekarza i nobliwą sylwetkę kombatanę, której pewnie nikt nie będzie chciał naśladować. Przypomina trud minionych lat i piękno postaw ludzkich. „Te myśli jak zadry siedziały w nim, on się przenosił z miejsca na miejsce i one za nim, to zabierał się do pi-

wodniczący jury, powiedział do niego, że od razu odgadł, iż autorem tych dwóch bardzo interesujących prac jest ta sama osoba i dodał, by laureat napisał coś większego, bo ma talent. Paweł Wiktorczyk szybko odpowiedział na sugestie pułkownika Żalusińskiego, w niedługim czasie napisał prawie dwie obszernie książki, posłał je do Wydawnictwa Poznańskiego z prośbą o ocenę i wydanie. (...) Przeczytaliśmy obydwa maszynopisy: „To dopiero początek” oraz „Czas biegnie obok”. Z obu części pamiętnika pierwsza nie nadaje się do publikacji, nie wnosi nic nowego do naszej wiedzy o przedmiocie, jest rozróżką i nużką. Natomiast druga część wydaje nam się ciekawsza. (...) W 1976 r. nakładem oficyny monowskiej ukazał się zbiór wspomnień kombatanek, a w nim „To dopiero początek” Wiktorczyka, czyli część tego, co poznański dom wydawniczy określił jako nie nadające się do publikacji. Wtedy Paweł Wiktorczyk zaproponował Wydawnictwu MON, by wydało całość jego wojennych i wędrownych wspomnień. Nie mając żadnych doświadczeń wydawniczych wierzył, że napisanie książki to sprawa najważniejsza, bo wydanie jej to tak jak upiec chleb z maki przygotowanej przez miłnarza.

Jego żona twierdziła: „Piszesz i pieszysz i co masz z tego? I tak ci nie wydrukują”. Jednak wydrukowali; w środku lata 1980 r. ukazała się debiutująca książka Pawła Wiktorczyka pt. „Czas biegnie obok”. W roku następnym oficyna MON wypuściła drugą część wspomnień Wiktorczyka pt. „A po wojnie, po skończeniu”. Obie książki to 116 stron druku i liczne fotografie. Żadna, choć nie były tanie, nie leżała w księgarniach dłużej niż kilka dni. Kiedy koleżdy podporucznika Wiktorczyka dowiedzieli się, że o nich historia zapisana, zaczęli ślad listy do Zagania, w nich prośby o przynajmniej jeden egzemplarz, w rewanżu podawali dodatkowe informacje, które autor zamierza wykorzystać w wydaniach drugich, bo oficyna MON je zapowiada. W czasopiśmie zaczęły się ukazywać recenzje, same pochlebne, ciepłe, jakby to było o książkach Andrzeja Wiktora czy Miłosa, którzy akurat wtedy byli na językach krajowych i zagranicznych, a nie weterynarza, debiutanta późniejszego z Zagania. Recenzenci twierdzili, że w obu książkach wiele nowych faktów o latach wojny, a wspomnienia są napisane taką polszczyzną, na jaką było stać Wańkowicza. Zdarzało się, że ktoś zarzucał Wiktorczykowi gawędziarstwo, wodolewstwo, fabularyzację, bo czy można jeszcze dziś pamiętać, ile centymetrów skoczył wżwzy jeniec Słowik? Wiktorczyk twierdzi, że można i ma na to niezbite dowody. Proszę. Lepiej byłoby dla niego i piśmiennictwa polskiego, gdyby nie wszystkie pamiętały, wtedy te książki by zaliczono do opowieści, a to już wyższa kategoria artystyczna. Staralby się ich autor o przyjęcie do Żelaznej, odbywałby niełatwe płatne spotkania, byłby pierwszym pisarzem w Zaganiu, nie licząc Stendhala, który za Napoleona został sześciotygodniowym intendentem księstwa zagąmskiego.

Wiktorczyk mógł na pol etatu szczerzyć psy przeciw wściekłym, kastrować knurki, szukać węgów w mieście, dostawałby każdego miesiąca z osiem tysięcy i żyłby sobie spokojnie. A on nie, on zaczął na poważnie pisać książki, jedną po drugiej, jak Krassowski, dowcipnie jak Wańkowicz. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pałac; szedł tam, siadał w fotelu, wzrok kładł na świeżo pomalowane ściany i zastanawiał się, jak pisać o Zaganiu, aby niczego nie pokreślić. Wtulał i szedł kołtarami, po których spacerował sam Liszt, przed nim Lohkovic, Wallenstein, Talleyrand, Bironowie, cała Europa artystyczna i polityczna okroś kongresu wiedeńskiego. Wychylał się przez okno,

z rekomendacją”. Potem były głosy następne, niektórzy porównywali Wiktorczyka do mistrza reportażu Wańkowicza, inni widzieli w nim współczesnego Zeromskiego albo Prusa, jeszcze inni przepowiadali mu karierę literacką. To wszystko notowanie potwierdziło organizatorzy plebiscytu o Nagrodę im. Aleksandra Kowalskiego — „Olka”, przyznając Wiktorczykowi nagrodę literacką.

„Lot nad kołyską” to albo wspomnienie zbeletryzowane, albo powieść biograficzna, w której autor przedstawił losy dziecka w robotniczym Żyrardowie, potem dorastanie młodzieńca, jego edukację wojskową i weterynaryjną. Nie to w tej pracy jest najważniejsze, ta książka ujmuje czytelnika swoją szczerością i mądrością. Jest to zarazem doskonały przewodnik historyczny i geograficzny po kilkunastu miastach Polski między wojennymi. Zdziwiałoby, skąd autor pamięta, że „fabryczną przeczynała ulica Targowa. Na tej ulicy mieszkał mój przyjaciel Tadek Pielat, świetny polonista i miotacz kulą i dyskiem. Zakochany w Zeromskim, kłócił się stale z mną, zwolennikiem Sienkiewicza i Prusa. Na Targowej była piekarnia Najmana (co za chałki!), rzemieślnictwo Kowalskie (bardzo dobra kaszanka), sklep z pasmanterią i konfekcja damska Krękolowskiej. Był jeszcze fryzjer, niewielki skład opałów, krawiec Tygier, sklep PRSS, warzywniak, magiel i zielony kramik, prowadzony przez dwie siołce. Ży dowieść”. Wyliczanka gatunków czekolady, salcesonów, kiełbas, znowu kolejność sklepów na ulicach, repertuar kin i lista lektur szkolnych. Nie wierzę, że po 50-60 latach wędrownia można aż tyle pamiętać. Wiktorczyk przekonuje mnie, że nie korzystał z żadnych źródeł, sprzedawców, wspomnień, to wszystko było w nim, on to musiał wyrzucić z siebie i teraz jest mu lżej. „Nik z nas nie pamięta wszystkich rozmów, ale niektóre rozmowy po latach potrafimy powtórzyć dokładnie. Piszac „Lot...” zamieniałem się w harcerza i przyrodnika. Jak harcerz zwracałem uwagę na znaki szczególne i wyłuskiwałem je z jeziora pamięci; jako weterynarz, czyli przyrodnik i lekarz, czerpałem z obserwacji”. Wypada wierzyć Wiktorczykowi, harcerz przedwojenny nie kłamie, można na nim polegać jak na Zawiszy. A może ludzie urodzeni w tamtej Polsce mają lepszą pamięć? Kolega szkolny Wiktorczyka Eugeniusz Zielinski po przeczytaniu „Lotu...” napisał: „(...) Bo czy mogłoby zapomnieć? Jurek Tuwam (którego artystyczne predykcje zdawały się upoważniać do podpisywania się: Tuwim), Włodek Mierzejewski (narcystyczny pianista), Jurek Braun (kadet z Rawicza), Staś Orpiszewski (mieszkał w pobliżu stajenki światełkojarskich), Bimbeł Przyborowski (urodziny gładysz, mający duże powodzenie u koleżanek), Maciek Kirste i jego brat Kazik (zagubieni na drogach wojny)...”. A więc to już odnozące pokolenie ma doskonałą pamięć. Może prawda jest, że przedwojenna duża natura to coś więcej niż dzisiejsza wuspes? Recenzent „Lotu...” Czesław Markiewicz twierdzi, że „Wiktorczyk, choć nie pisarz, uczy „pisarzy” pisania”. Weterynarz uczy pisarzy? Pisanie? Markiewicz nie jest gołosłowny, twierdzi dalej: „Właśnie język narracji zagąmskiego autora jest siłą jego książki. Dziś już tak się nie mówi, a tym bardziej nie pisać. Jest w tej książce cały ogrom słów pięknych, przestarzałych, jakby „humus” leksykalny, który poraża artystą. Wiktorczyk opowiada swoje dziecinstwo i młodość posiada świadomość, że literackie tworzywo, jakim jest język, to najbardziej zawodne z tworzywo artystycznych. (...) Wiktorczyk nie łamie żadnych reguł gramatycznych, nie sięga po jakieśkolwiek osiągnięcia lingwistyczne, nie dokonując żadnych przesunąć semantycznych, uzyskuje efekt zaskakujący: proste — przez którą wypowiedzią prawdy niby oczywiste, ale jakie uniwersalne. (...) „Lot nad

się, iż chciałby wiedzieć, gdzie ukrywa się Dusza Narodu. Przypuszczam, że przeczytanie tej książki dużo by mu pomogło”.

Zaraz po „Locie nad kołyską” w oficynie Ministerstwa Obrony Narodowej wyszła czwarta książka Pawła Wiktorczyka, zbiór reportażów pt. „Na koniec weszło słońce”. Jest to literacka rzecz o tych, którzy w latach ostatniej wojny bili się o wolność Warszawy i naszą, i którzy orząc, siejąc, kosząc, lecząc, urządzając w podziemiach okolicach wspominał tamte lata. Wiktorczyk przyznaje się, że te reportaże pisał wspólnie ze znajomymi — Winczarkiem, Świątkiem, Drozdowskim, oni podpowiadali mu, o kim warto napisać, kto był pod Leninem, a kto pod Tobrukiem, kto pilotem, a kto zwiadowcą. Wiktorczyk nigdy nie był reporterem, nikt nie radził się, jak pisać reportaż, ot poczytał Wańkowicza, przejrzał „Nadodrzę”. Książka ukazała się dokładnie wtedy, kiedy zaczęły się obchody jubileuszowe Ziemi Zachodniej i Północnych. Znowu telewizja! Przylepiła do niej etykiety „książka z rekomendacją”, recenzenci piali z zachwytem, chociaż byli i tacy, którzy zarzucali Wiktorczykowi plagiat, że niby to udupił od germanisty Majchrzaka, tanto od historyka Hładkiewicza. Wiktorczyk nie bronił się, owszem, korzystał z prac ogłoszonych drukiem, ale niczego nie przepisał, prawdę mówiąc, Wiktorczyk jest pierwszym autorem, który tak obszernie przedstawia dumną przeszłość piastowskiego Zagania, i robi to w formie najprzystępniejszej. Tak przystępnej, że co ósmy zaganianin kupił jej książkę, wielu odeszło od księgarskiej lady bez niczego; WOPR w Kalsku chciał 200 egzemplarzy, dostał tylko 20, NOT zielonogórska biagała o 250, nie dostała nic. Coś tam ma jeszcze naczelnik miasta, coś dyktor Stawczyk, ale to dla wyjątkowych gości.

Każdego dnia w pałacu albo przy kamieniczkach w centrum Zagania można spotkać starszego pana w ciemnych okularach, wędruje od sklepu do sklepu, kupuje cukier, chleb, warzywa, owoce i co tam jeszcze potrzeba by sobie i córce ugotować obiad. O, Paweł Wiktorczyk jest wspaniałym kucharzem! Po obiedzie znowu spaceruje albo czyta, albo odbywa spotkania. A wieczorami, kiedy zasypiają telewizory w budynku przy Szprotawskiej 18, słychać ciche uderzenie klawiszów lutniczki. To Paweł Wiktorczyk komponuje nową książkę, zbiór opowiadań pt. „Głodne serca”, a na który czeka tylko do maja 1986 r. wydawnictwo „Książka i Wiedza”.

Pisarze narzekają na wydawców, drukarzy, recenzentów, kolporterów, że to niby z ich winy tak mało książek. Wiktorczyk nie odzywa się, Wiktorczyk siedzi przy maszynie i pisze, jednym palcem. W ciągu ostatnich pięciu lat wydał cztery książki, dostał dwie nagrody za twórczość literacką, przystąpił do Unii Lekarzy Pisarzy. Kto tyle dokonał w czasie kryzysu ekonomicznego i umysłowego?

ALFRED SIATECKI

społeczna funkcja inteligencji? Nasz wiek jest wiekiem klasy robotniczej, klasy panującej. W moim przekonaniu wiek XXI będzie wiekiem inteligencji, jako siły wytwórczej. Przecież już dziś w klasie robotniczej jest coraz więcej ludzi myślących i działających jak wysokowykwalifikowana inteligencja. I potrzeby tej klasy są dziś największe. Ale nie ukrywajmy

wą? Brak środków materialnych, to jest dna z przyczyn naszego kryzysu w kulturze. Ten brak odczuwa również większość twórców.  
**WŁODZIMIERZ KWAŚNIEWICZ:** — Nie zapominajmy też, że skończyło się snobowanie na kulturę a wraz z tym nastąpiła deprecjacja podstawowych systemów wartości...  
**MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA, „Nadodrze”:** — Ciągłe właściwie wylania się problem braku pieniędzy na kulturę, na ocalenie dotychczas

**WIESŁAW NODZIŃSKI, „Nadodrze”:** — Przychylam się do tezy pani Bulat-Raczyńskiej, iż kultura jest to system pewnych socjalistycznych wartości, to jeśli pragniemy obronić socjalizm, to nie tylko w sferze ekonomicznej, ale przede wszystkim w sferze wartości, idei, pojęć. Tutaj mówimy że naszą przyszłością w kulturze jest nowoczesność, tymczasem ja niedawno byłem w pewnej szkole, gdzie jest minikomputer i nikt nie umiał się nim posługiwać. A jednocześnie w tej szkole brakowało zeszytów, podręczników, no i kredy... Wnioski są oczywiste.

Sądzę, że powinnością wojewódzkich władz kultury jest opracowanie, jeszcze przed X Zjazdem partii, realnego programu rozwoju kultury z uwzględnieniem wszystkich racji, wynikających z polityki partii. Przecież słusznie nawijamy do realiów nam bliskich, a są one takie, a nie inne. Dotkliwie i dramatycznie na własnej skórze odczuwamy stan naszej poligrafii, brak papieru, nie dostatek kadrowy. Te ostatnie wynikały często z niskich wynagrodzeń niektórych grup pracowników RSW, żeby wspomnieć dla przykładu o maszynistkach.

I jeszcze jedna sprawa: jaka jest samorządna rola organizacji twórczo-zawodowych i ich współudział w dysponowaniu funduszem na kulturę. Kto ma wreszcie stymulować rozwój zakładowej kultury? Przecież wiele zakładów ma na to pieniądze. I nie interesują się życiem kulturalnym załogi i również nie pokój się, w jakiej atmosferze będzie się odbywał najbliższy zjazd LTK, skoro jest taka sytuacja. Dziś przez nas rozpoznawana w kontekście bardzo krytycznym, lecz przecież podpartym przykładami i dowodami. Brakuje rzeczywiste impulsy, brakuje też wydarzeń kulturalnych, nawet w samej Zielonej Górze. Taka sytuacja prowadzi do okrojonych wniosków.

## Przed X Zjazdem PZPR

# Dialogi o kulturze

pauperyzacji inteligencji, choć mamy programy i uchwały poszczególnych plenarnych posiedzeń Komitetu Centralnego partii.

**HALINA AŃSKA:** — Niedawno na zeb raniu Stowarzyszenia Autorów Polskich rozmawialiśmy o tym, jak włączyć się w to, co jest kulturą robotniczą. Ale co to jest kultura robotnicza? Na przykładzie „Polskiej Welny” mogę powiedzieć, że tam kultura jest w stanie opłakany. Jeśli były tam tradycje ruchu artystycznego, to dziś funkcjonuje tylko biblioteka, a dom kultury jest wynajmowany na różne uroczystości. „Polska Welna”, która kiedyś była w Zielonej Górze kolebką wszystkich instytucji kulturalnych, jakie mamy, łącznie z Filharmonią, w tej chwili jest kulturalną pustynią. Wszystko się tam prawie skończyło. Z różnych przyczyn. Ludzie stracili zainteresowania, ale przede wszystkim nie ma pieniędzy, na wci na opłacenie instruktora...

**WŁODZIMIERZ KWAŚNIEWICZ, dyr. Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie:** — Patrząc na te problemy jako praktyk, bezpośrednio zajmujący się kulturą, w tym — przede wszystkim muzealnictwem, i sądzę, że myśmy wyrwali kulturę z kontekstu i robimy z niej chłopca do bicia. Lecz brakuje nam jakby jasności w określeniu tego, co jest przyczyną takiego a nie innego stanu kultury. Słusznie Pietrasik napisał w „Polityce”, iż „Raport o stanie kultury” jest w istocie rzeczy raportem o stanie państwa. I słusznie, bowiem kondycja naszej kultury jest przecież kondycją naszej szeroko pojętej rzeczywistości społeczno-ekonomicznej. I dopóki ta rzeczywistość się nie zmieni — a perspektywy nie są tak bliskie — to nie zmieni się kondycja kultury narodowej. Obawiam się, że te dokumenty, o których mówimy, są jeszcze jednym dowodem na ciągłe rozmiłanie się teorii na temat kultury z praktyką. Mamy z tym, niestety, do czynienia gdzieś od połowy lat siedemdziesiątych, kiedy to głosiło się szczytne hasła sojuszu ludzi pracy z kulturą. I mówiło się słusznie, bo przecież właśnie kultura jest siłą naszego systemu. Nie jest przypadkiem, że „Solidarność” wrywała nam placówki kultury. Było to przecież wyrażanie broni naszemu ustrojowi. Tak więc, jak kiedyś mówiło się, że kultura ma mieć kontekst robotniczy, tak mówi się i dziś, choć innymi słowami. Ale brak tu konkretnych realiów. I stąd jest to dla mnie zestaw postulatów, w najbliższych latach nie do zrealizowania. Tak sądzę, bo bliżej jestem zaznajomiony z bolączkami terenu.

Jeśli natomiast chodzi o finansowanie zielonogórskiej kultury, to nie wiem, jak się to dzieje, że w innych województwach te pieniądze są o wiele większe. Przykłady mam konkretne: w muzealnictwie, w działalności teatrów i filharmonii. I jeszcze jedno: to, co szkoła może dać w zakresie kultury, to na dziś równa się prawie zero. Brak nauczycieli, programu. Krytycznie też oceniam tzw. kulturę telewizyjną, bo jest to „papka” nie ucząca myślenia.  
**ALFRED SIATECKI:** — Zgadza się, że kultura winna wychowywać i kształcić, ale też i bawić. A partia ma obowiązek wspierania tych działań, dawno już przecież opracowanych i skonkretyzowanych. Szukam w pamięci, co w tej dziedzinie zrealizowano? I nie prawie nie znajduję, poza tym, że zgodnie z programem wyprodukowano — mówiąc złośliwie — wystarczającą ilość dubiel-tówek dla myśliwych Oczwiscie, wia rygodne są dokonania, o których mówiłem na wstępie, ale to jeszcze za ma lo...

Niepokoń mnie wiele innych problemów. Ot, chociażby fakt popierania przez państwo twórców, którzy występują publicznie przeciwko socjalizmowi. A takie przykłady mamy — wielu z nich korzysta skwapliwie z kas kościelnych, zachodnich a równocześnie państwowych. Jak to jest możliwe? Inna sprawa: w dokumentach powiedziano o nowoczesności tylko w jednym, wąskim zakresie. Zabrakło konkretów w postaci rozwoju bazy poligrafii, produkcji sprzętu muzycznego, papieru. I w jaki sposób ożywić kulturę zakładu

sowej bazy materialnej, która z roku na rok dekapitalizuje się. I jeszcze jed na sprawa: słusznie krytykujemy poziom i repertuar telewizji. Jest moim zdaniem zbyt mało ambitny.

**ZENON LUKASZEWICZ, „Nadodrze”:** — Myślę, że mamy do czynienia nie tylko z pauperyzacją inteligencji, ale właściwie całej kultury, coraz częściej preferując tradycyjnego jelenia na rykowi sku. Bo tego podobno życzy sobie społeczeństwo. A gdzie tedy podziały się funkcje wychowawcze kultury, sztuki? Czy istnieje realny program rozwoju zielonogórskiej kultury? Jak on jest realizowany i jakie ma szanse realizacji. To dobrze, że przynoszą nam splendor rozmaite ogólnopolskie festiwale, ale dlaczego nie piszemy i nie mówimy o inicjatywach, rodzących się spontanicznie w małych miejscowościach, wsiach? Przecież tam, pomimo kryzysu, dzieje się nieraz coś bardzo ciekawego i ambitnego, ludzie ze społecznymi sjaami nie rozkładają bezradnie rąk. My tu dmiemy w wielkie trąby, snujemy marzenia o nowoczesności wideo-teko-wej, a może jednak wartaloby zająć się też tymi drobnymi nieraz, ale jakże ważnymi inicjatywami. Dopomóż małej wsi Złotnik w rozwijaniu zespołu pieśni i tańca, spopularyzować inicjatywy kulturalne kolejarzy ze Zbąszynka, którzy Dom Kultury obchodzą w ub. roku 40-lecie swojej aktywnej nieustannie działalności... Jeśli się więc dobrze przyjrzyć, to konstatacja nasza nie mogaby być tak jednostronnie pesymistyczna. Z wolna odbudowuje się ruch regionalnych inicjatyw społecznych, i to jest jednak optymistyczne.

**PIOTR PIOTROWSKI, „Nadodrze”:** — Środki na kulturę, w moim przekonaniu, to my mamy. Tylko, czy płyną one we właściwym kierunku? Przyjrzyjmy się polskiej wsi, w jakim opłakanym stanie są kluby i wiejskie świetlice. A jednocześnie strumienie pieniędzy płyną na żywiołowo przyznawane stypendia twórcze, przyznawane często w sposób mechaniczny, nieuzasadniony. Nie radzimy więc sobie z racjonalnym wydatkowaniem pieniędzy, a tworzymy wizję bez pokrycia, wizję raczej zrodzoną z urzędniczego biurka.

**WŁODZIMIERZ KWAŚNIEWICZ:** — Czego się właściwie w kulturze nie ruszy, to napotyka się na duże braki. Jak więc robić priorytety w jakimkolwiek zakresie?

**RYSZARD ROWIŃSKI:** — Przeglądając stare zysyki gazet stwierdziłem pewną rzecz: w małym miasteczku rzędu 30 tysięcy mieszkańców, w Zielonej Górze, w 1956 roku było ciekawiej niż dziś. Od tego czasu środowiska się bar dzo rozbudowały. A wtedy nie było żadnych związków twórczych, a działało się wiele ciekawego. Dziś nastąpiła kompletna dezintegracja, nie ma ośrodków wiodących. Przyczyny są różne. Zastanawiające i zasmucające. Ale to fakt!

**ANNA BULAT-RACZYŃSKA, „Gazeta Lubuska”:** — Nasza dyskusja przypomina rodzaj terapii grupowej, gdyż zdajemy sobie sprawę z sytuacji kultury i próbujemy jakoś to sobie uświadomić. Wydaje mi się, że raczej ma tu pani Kowalska, iż u podstaw naszych bolączek leży brak funduszy na kulturę. Należy więc zastanawiać się, jak te pieniądze, które mamy, racjonalnie wykorzystywać.



„Matka” — rzeźba Józefa Cyganika z Zielonej Góry, ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej. Fot. B. LACHOWICZ

**TADEUSZ SOJKA, prezes Oddziału SAP:** — Jeżeli traktować kulturę jako stałe dziejący się proces społeczny, to wizja nakreślona w dokumentach brzmi dość przekonująco. Natomiast obecny stan kultury wywołuje oczywiście niepokój. Weźmy chociażby sytuację twórcy — autora. Nie ma twórcy, zaangażowanego w losy kraju, który nie chce być w tej naszej współczesności. Jeśli to ma być twórca zaangażowany, to musi on przecież za coś żyć, i dlatego nie może być takiej sytuacji wydawniczej, w której wznawienia powodują depresję wynagrodzeń. Jest to absurd w skali światowej. Dlaczego karzemy twórcę za wznawienie, na których wydawnictwa dużo zarabiają? Muszą być więc stworzone warunki niezbędne.

Jeśli chodzi natomiast o wartości trwałe, to wydaje mi się, że najpilniejszą sprawą jest ratowanie tej bazy, która pozostała. Jeśli natomiast zaistnieją warunki do jej rozwoju do roku dwutysięcznego, to ja jako obywatel będę szczęśliwy. Zahamowanie degradacji bazy, to sprawa najważniejsza. O środkach technicznych w rozwijaniu kultury mówi się dość obszernie. Te wszystkie wi deokasety, minikomputery itp. związane są z naszymi możliwościami finansowymi. Nie zgadzam się natomiast z systemem priorytetów w finansowaniu kultury. Jest przecież ona tak wrażliwym polem, tak wrażliwą działką naszego życia społecznego, działającą na zasadzie naczyń połączonych, iż nie można np. ująć coś twórcy, a budować ośrodek kultury lub — odwrotnie. Wszystko to musi być robione w miarę spójnie, komplementarnie. I tutaj nie zgadzam się, iż mają być przestrzegane, ustalane przez państwo, priorytety. Im więcej priorytetów, tym więcej niebezpieczeństw, jak uczy życie.

I sprawa mecenatu. Jest o tym mowa w dokumentach. Można w nich przeczytać: „W sferze kultury należy stale kontrolować i umacniać nowe mechanizmy społeczno-gospodarcze, uruchomione wraz z wprowadzeniem reformy gospodarczej.” Jest to dla mnie właśnie odesłanie donikąd. Wszyscy wiemy, że reforma gospodarcza nie wyzwoliła w zakładach pieniędzy na kulturę. Dlatego uważam, że mecenatu państwa nie nie zastąpi. Od tego zależy dalszy rozwój kultury.

Dużo się obecnie mówi o kulturze robotniczej. Niestety, nie ma dziś takiej instytucji, która by programowo zajmowała się animacją kultury, właśnie — tej robotniczej. Wiele stracił w zakresie bazy i kadry. Widzę tu ogromną rolę związków zawodowych, oczywiście — po tych stratach — w perspektywie lat. Ja wierzę w to, że zajmą się one tą kulturą, i że będą możliwości działania na tym polu — także dla związków twórczych.

**ZENON LUKASZEWICZ:** — Dokumenty partyjne, w kontekście których tak wiele powiedzieliśmy również o naszych niepokojach, związanych z sytuacją kultury w regionie, są zaledwie skonstruowaną ramą założeń przyszłościowych, którą to ramę należy dopiero wypełnić konkretną treścią i realnym planowaniem. Trzeba jednak podkreślić, iż w tych założeniach właśnie największą wartość upatruję w tym, co nazwałbym — otwarciem perspektywy. I skłonieniem do obywatelskiej dyskusji nad tym, co robić, aby powstrzymać proces dalszego okaleczania wspólnego dobra. Dotychczasowe doświadczenia nie są zbyt optymistyczne, choć trzeba też przyznać, że nie brak działań, które skierowane są właśnie na te humanistyczne obszary ludzkiego życia. I nieraz przecież przynoszą niebagatelne efekty...

cie bezpieczeństwa i stabilizacji. Potem robi mi króciutki wykład.

Otoż drzewa chorują i umierają, jak ludzie. Najniebezpieczniejsze dla ich zdrowia są tlenek siarki i dwutlenek węgla. Trucizny te wydobywają się z niezliczonych kominów fabrycznych. Samego tylko tlenku siarki w powietrzu, jest, w skali świata, dwadzieścia miliardów ton rocznie. Lasy, niby ogromne płuça, wdychają to wszystko, ale nie są w stanie przefiltrować. Dotyczy to również naszego kraju, w którym w ostatnich latach, tak bardzo rozwinął się przemysł. Obliczono, że w Polsce mamy w atmosferze około dwustu milionów ton dwutlenku węgla i trzy razy więcej tlenku siarki wraz z innymi zanieczyszczeniami, w ciągu roku. Stąd też wynikają smutne dane statystyczne: ponad 650 tysięcy hektarów lasu — choruje. Drzewa rosną wolniej, niż przebiega rozwój cywilizacji. Trwogę więc budzi myśl, iż przyjdzie mo że kiedyś taki czas, że las po prostu — umrze.

Pierwszym sukcesem inżyniera Podsiadlika był projekt urządzenia, służącego do ściągania drzew, które zawleciły się podczas wyrębu. O tak, to się pamięta przez całe życie — ten smak pierwszej radości z wykonanego dzieła oraz z otrzymanej nagrody, która wynosiła wówczas — a był to rok 1954 — tysiąc pięćset złotych, czyli więcej, niż dwie miesięczne pensje.

Gdyby teraz, po latach, przyszło mu oceniać swoje wynalazki oraz ten przydatność, wymieniliby przede wszystkim urządzenie, które nazwał „pogłębiaczem rudawca”. Rudawiec lub inaczej orszyn, jest to twarda, zewnętrzna powłoka gleby, która, w połączeniu z żelazem oraz elementami organicznymi, tworzy twardą skorupę, utrudniającą sadzenie lasu. Pogłębiacz kruszy tę powłokę i sprawia, że sadzenie lasu przebiega dużo szybciej, przy czym młode drzewka łatwiej się adaptują w nowych dla siebie warunkach.

Inżynier schyla się, podnosi szyszkę i na kawałku gładkiego, przyspianego śniegiem mchu, rysuje zasady funkcjonowania maszyny. Składa się ona z wielkiego lemiesza i zębatego wałkowca. Wszystko to przymocowane jest do ciągnika. Ciągnik rusza — i lemiesz podrywa twardą skorupę, zaś kołczaste walce siekają ją na cząsteczki.

Wspomniałem na wstępie o życiu, w którym tylko pozornie nie ma żadnej walki. To prawda. Jak się okazuje, inżynier Podsiadlik od lat pro-

wadzi walkę na śmierć i życie. Jego przeciwnikiem jest mniszka-brudnica. Jest to stworzenie wyjątkowo podstępne. Składa niezliczone ilości jajeczek na konarach drzew. Z jajeczek wyłogają się gąsienice tak straszliwie żarłoczne, że potrafią obgryźć ze szpilek całe drzewo, aż pozostanie kalkiem nagie. Gąsienice zamieniają się w larwy, które następnie przybierają postacie owadów — i cykl zaczyna się od nowa.

Natura tak wszystko ustawiła, że po części las próbuje ratować się sam. Gą-

ośmiu lat, zwłaszcza na obszarach nadleśnictw Wolsztyn, Krosno i Świebodzin — sprawiła, że zniszczone drzewo stany odżyły i zazieleniły się ponownie. To jest wielka sprawa!

Słiskim zboczem schodzimy teraz w dół, gdzie za ścianą zieleni biegnie szosa w kierunku Zielonej Góry Niedaleko stąd w 1982 roku zdarzyło się wielkie nieszczęście. Zapalił się las i płonął przez kilka dni. Straty były ogromne. Każdy człowiek powinien zobaczyć

żaru leśnego, skonstruowany przez Józefa Podsiadlika.

Im dalej w las, tym więcej drzew. Im dalej w życie, tym więcej obrazów w pamięci, a najostrzejsze są obrazy z dzieciństwa. Inżynier Podsiadlik spogląda na małą szkolkę leśną — i widzi siebie przed laty, gdy jako dwunastoletni chłopiec znalazł się w partyzancie AK, jako „syn pułku”. Cała rodzina ukrywała się wtedy w lesie, ścigana przez gestapo, a gajówkę Niemcy spalili.

Medale, odznaczenia, nagrody, dyplomy — wszystko to cieszy. Józef Podsiadlik ma powody do zadowolenia. Przez życie przeszedł godnie. Ma piękny zawód a w nim osiągnięcia. Jest człowiekiem znanym i szanowanym w środowisku leśników. Prowadzi działalność racjonalizacyjną w Okręgu Lasów Pracuje też społecznie — w organizacji partyjnej, w związkach zawodowych, do niedawna także w Komitecie Rodzicielskim Szkoły numer 14, do której — jest to cenna tradycja — uczęszczają dzieci leśników. Jest wiele plusów na koncie. Mimo to, jak mówi, czegoś mu brak. Dziadek miał następcę, ojciec również. On niestety, następcy nie ma. Jeden syn wybrał mechanikę samochodową, drugi — elektryczną, córka — fizykoterapię. Może wnuk okaże się spadkobiercą? Przejmnie po dziadku miosć do lasu oraz troskę o leśne problemy i w ten sposób dynastia się przedłuży?

MARIAN SKARBEX

P.S.

W projekcie programu PZPR czytamy: „... w znacznie większym niż dotychczas stopniu trzeba otoczyć opieką wynalazców i racjonalizatorów, doskonalących systemy wynalazków i pomysłów racjonalizatorskich... Wynalazca musi być znany opinii społecznej jako wzorcowy dla innych, zdobywca materialnego i moralnego sukcesu”.

M. S.

## Całe życie w lesie

sienice wyjadane są przez ptaki leśne, zaś larwy wybierane i zjadane z wielkim upodobaniem przez żuki, które w tej sprawie są przyjaciółmi i pomocnikami leśnika. To jednak nie wystarczy do pokonania wielkiej armii mniszek. Musi więc wkroczyć człowiek — z techniką i chemią. Rozpływane z samolotu środki chemiczne powodują, że gąsienice giną — i cykl rozwoju szkodników zostaje zahamowany.

Przez długie lata leśnicy na próżno usiłowali ustalić, w jakim stopniu rozpylanie jest skuteczne, czyli na które części lasu ciecz została rozpylona, a których nie dosięgła.

Inżynier Podsiadlik wymyślił metodę, dzięki której zagadka zostaje rozwiązana na bieżąco. Trzeba wyznaczyć szerokość opylania i rozmieścić na nim, w odległości co sześć metrów od siebie, małe płytki, sporządzone z błony fotograficznej lub papieru światłoczułego. Gdy samolot przelatuje, wykończone swe czynności, na płytkach pozostaje ślad w postaci rozpylonej cieczy. Teraz posypuje się płytki talkiem lub zwykłą mąką — i już widać najmniejszą nawet drobinę rozpylonego preparatu. Sposób ten stosowany jest w leśnictwie powszechnie i być może nawet mało kto wie, że wymyślił go inżynier z Zielonej Góry.

Ktoś powie: czymże są jakieś tam płytki wobec wielkich wynalazków, dzięki którym ludzkość zmierza do poznania kosmosu? Niechże sobie więc wyobrazi martwe kikuty drzew, jeden za drugim, cały martwy las, bez odrobiny zieleni. Skuteczna walka z mniszką-brudnicą, prowadzona w województwie zielonogórskim od

las po pożarze i zadumać się choćby przez chwilę nad tragedią, jaka się stała. Las zapala się bowiem zawsze z winy człowieka, przez jego nieuwagę, bezzmysłowość, a nawet, co dla ludzi kochojących las jest najstraszniejsze, przez złośliwość. W tym pamiętnym roku 1932 w rejonie nadleśnictwa Lubsko, wypróbowany został po raz pierwszy stalowy wał do likwidacji skutków po-

las po pożarze i zadumać się choćby przez chwilę nad tragedią, jaka się stała.

las po pożarze i zadumać się choćby przez chwilę nad tragedią, jaka się stała.



Fot. B. BUGIEL

## Wielki świat Janusza Czernego

Piotr Piotrowski

— Pisać o mnie? A coż ciekawego może pan o mnie napisać? — spojrzał znad kufła z piwem i poprawił wskazującym palcem okulary.

Czerń... „Czerń”... Janusz Czerny. Koleżdy wołają na niego „Czerń” albo po prostu Januś. Pasuje do niego ten przydomek — czarne, nie za długie, włosy, wąsy; okulary barażnie pasują do Czernego. Muzyk z dalekiego Rio słyszał o Czerny-Stefanskiej i skojarzył sobie Janusza Czernego z wybitną pianistką. Zabawne nieporozumienie stało się początkiem korespondencyjnej przyjaźni.

— W zasadzie warto by napisać coś sensownego, ale nie o mnie lecz o sprawie, o nadziei. Z jednym zastrzeżeniem, chciałbym to przeczytać przed wydrukowaniem. Kiedyś tak pokręcił w gazetce, że wyszło na to, że ja jestem na turysta. Proszę sobie wyobrazić co przeżyli moi sąsiedzi — Januś biega na gołasa z dziećmi i kobietami! To jest małe miasto... — ruchem głowy wskazał na sąsiadnie stoiki, na smutnych „bożków gorzelnych”, jakby ten obrazek miał wszystko objaśnić. — Zaczęło się od Wieży Babel...

— Nie, nie sięgajmy aż tak daleko! — zaprotestowałem.

— To jednak ma być o mnie?

Ciągnęło go do wędrówek, poznawania świata i ludzi. Najbardziej nie mógł określić, że zawsze cniat trochę coś ponad. Ponad dłużej się bytomskie dni. Ponad stereotyp małomiasteczkowego życia. W Bytomiu Odrzańskim jest kilku takich ciępiących na klastrotość. Rynek miasta stanowi zamkniętą pulapkę. Otoczony przez: Dom Kultury, Urząd, dwie knajpy i kawiarnię, do której nikt nie chodzi na kawę, lecz na tanie wino, zwane od pewnego czasu Musasni — bo szybko scinają między jedną a drugą knajpą znajduje się księgarnia, a wawsiwie księgarenka, w której leżą takie same cegły jak wszędzie. Zdecydowana przewaga i największa atrakcyjność bytomskiej gastronomii, nie pozostawia wyboru. Dyrektor Domu Kultury ostrzega mnie przed samotnym odwiedzaniem baru. „Bożkowie gorzelni” różnie reagują na obcych.

Ci, którzy nie chcą zestarzeć się w barze, uciekają w Polskę, a przeważnie ta Polska kończy się na Bieszczadach. Gdy zmęczy ich uciążliwość bieszczadzkiego życia, wracają do Byto-

mia, ale po to tylko aby ponownie uciec.

Brat Janusza też żyje w Bieszczadach. Ale Bieszczady, to kolejny zabity deskami, kąt kraju. Świat, Wieża Babel różnych języków, to może stanowi odpowiednią przeciwwagę dla Bytomia.

Ot, coś się działo. Odra wylała, był zakaz sprzedaży alkoholu. „Bożkowie gorzelni” zostali wygnani z przytulnych barów — ojczyzna była w potrzebie. Stanęli jak jeden mąż: z łopatami, workami na piasek i nakazami pracy w kieszeniach. Niektórych tak wciągnęła robota, że po nocy przepracowali jeszcze dzień. Stada myszy poszukiwały kawałka suchego gruntu, a „Bożkowie” ciskali w nie kamieniami. Ot, coś się działo.

Albo jak do Janusza przyjechały Japończycy. Niemcy tutaj nie dziwili nikogo. Jak gdyby wtropili się w pejzaż. Przyjeżdżają luksusowymi autokarami, pochodzą, poszwargoczą, pokrywają głowa mi i odjeżdżają. Ale Japończycy przyjeżdżali specjalnie do Jasia. Stary Japończyk w garniturze, a dwa kroki za nim Japońska z walizkami i w kimonie — jak w kinie.

Początkowo miał zamiar opanować kilka wiodących języków europejskich. Zaczął od niemieckiego. Uważa, że dość dobrze zna ten język. Ale w pojedynkę nauka była za mało atrakcyjna. Zaproponował wspólną naukę koledze z pracy. Tamten coś już słyszał o esperanto. Napisał do Warszawy, na Jasną 6. Dzięki nadesłanym materiałom, po sześciu miesiącach osiągnął średni stopień znajomości języka. Nie za bardzo wiedzieli, co mają dalej robić. Pomógł im holenderski miesięcznik „Heroldo de esperanto”. Były tam adresy esperantystów z całego świata. Wysłali listy. Po trzech miesiącach przyszła odpowiedź z Czechosłowacji. Pierwsze święto bytomskich esperantystów. Czechosłowak skreślił parę słów o sobie i swoim mieście. Do listu załączył jednego halera. W zbiorach Czernego jest to list numer jeden (numeruje wszystkie listy od esperantystów) i pierwsza moneta wśród kilkudziesięciu innych.

Marzenie w pewnym sensie zostało zrealizowane. Rozmawiał korespondencyjnie z całym światem. Boska kłątwa rzucona na budowniczych Wieży Babel nie dotyczyła już Czernego.

Ożenił się. Urodziła się Anna Maria. Jego córka jest chyba jedną Polką, dla której w dalekiej Brazylii skomponowano utwór muzyczny. Preludium zostało napisane i wydane przez zawodowego muzyka. Z Brazylijczykiem koresponduje od 1978 roku. Jest to, jak dotąd, najtrwalsza znajomość. Muzyk i egiptolog z Rio, wielbiciel Szopena. Zbiera pieniądze na przyjazd do Polski. Zapowiedział się na 1987 rok Czerny przypomnie każdego esperantystę po starożytności i esperancu. Nie ma problemu z miejscem dla gości. Postawił dom, w którym nikomu nie powinno być ciasno. Dom powstał z typowej dla Czernego niecierpliwości i wiary w siebie. Nie nadzwyczajnego — wiele rodzin buduje własne domy. W Bytomiu czeka się na mieszkani jakieś sześćnaście lat. Nie chciał czekać, ani nie chciał, żeby mu dawano. Chodził na budowy znajomych, przyjaciół. Często pracował u nich za darmo. No, nie tak zupełnie za darmo. Pracą płać za naukę, za możliwość podpatrywania. Taki już jest — żadnych długów. Ale nie jest to kukułka harpagona, że ja od nikogo i nikt ode mnie. Od niego owszem, ale on chce liczyć tylko na siebie. Jest trochę buntownikiem i samotnym wilkiem. Pewnie dlatego musiał zrezygnować z gry w miejscowej drużynie piłkarskiej. Nie był taki zły, aż do momentu przyścia nowego trenera. Tamten chciał mieć bezwzględna władzę nad drużyną. Czerny miał obiekcje, więc „grzał ławkę”. Nie odpowiadały mu ani rady trenera, ani „granie ławki”, rozstał się z drużyną na zawsze. Może to i lepiej? Za to postawił dom jak się patrzy. A jeśli za ileś lat dach zacznie przeciekać, a Janusz będzie za stary na wysokościowe wyczyny, to na dach wejdzie syn i stuknie miotłkiem tam, gdzie trzeba. Bo wreszcie, po dwóch corkach, doczekał się syna. Teraz już nie martwi się o przyszłość. I tak jak zawsze liczył tylko na siebie, teraz liczy na Czernego-junióra.

Taki jest sposób myślenia i sposób na życie 30-letniego mężczyzny, który odczuwa nadzieję się jeszcze pod ochroną ustawy o młodości.

W latach najostrzejszego kryzysu otrzymywał pełne niepokoju listy: czy nie głoduje? a może nie ma w co się ubrać? Szwedzi, Finowie, Niemcy deklarowali swoją pomoc. Nie, niczego nie potrzebował.

W 1983 roku pojechał na kongres esperantystów do Budapesztu. Było to wielkie przeżycie: ludzie z całego świata rozmawiający w jednym języku, połączeni jedną ideą. Czerny przybył do Budapesztu z niewielkiego Bytomia, dlatego wiele rzeczy i spraw miało prawo go zadziwić. A przecież taki poliglota i obywatel, jak redaktor Zygmunta Broniarek — obserwując kongres esperantystów w Sztokholmie — też nie mógł wyjść z podziwu: tysiące ludzi różnych nacji i żadnych tłumaczy

poprzez których politycy targują się o liczbe śmiercionośnych rakiet. Esperanto to por polibona mondo-esperanto dla lepszego świata. Coś więcej, niż tylko sztuczny język wymyślony przez lekarza z Białegostoku.

W Budapeszcie Czerny dowiedział się, że są ludzie, którzy nie wiedzą, na wet, gdzie leży Polska. Tam też poznał „esperantystów” z rosiel — rencjan pomocy, dla których świat jest wielkim sklepem, a każda idea jest tyle warta, na ile jest wymierna w towarze. Nekrokodyli — w języku esperanto oznaczają człowieka, który w esperancie zdania wplata wyrazy z ojczystego języka. Takim najczęściej bywa w telegacji z Polski. Coż, polski nekrokodyl ma mocne pięty i łokcie.

Trzy lata temu odbyło się w Zielonej Górze zebranie założycielskie Zarządu Okręgowego Esperantystów. Janusz został drugim wiceprzewodniczącym. Dział nie wie, czy jeszcze nim jest. To go nie interesuje. Zbyt wiele w tym formalizmu i targowiska. Nekrokodyli zakładają sekcje zainteresowań, zespoły, teatry, kuszą zagranicznymi wyjazdami. Zwiedzają świat, ale bez nawanej wiary, że świat stanie się lepszy. Wystarczy jeśli oni będą mieli lepiej. „Czerń” woli uczyć esperanta. Już kilka osób w Bytomiu włada językiem Ludwika Łazarza Zamenhoia. Zgłasza ją się inni cętni.

Zagraniczne wojaże? Nie było tego wiele. Na pewno w pamięci pozostał kongres w Budapeszcie. Był na spotkaniu esperantystów we Frankfurcie nad Odrą, tam otrzymał zaproszenie na WAKE, WAKE, to Limowe Przyjacielskie Spotkania Esperantkie, odbywają się w Bułgarii. Polska, mimo że jest ojczyzną esperanta, nie posiada monopolu na ten język — to i dobrze. Ale gorzej, że w innych krajach esperanto rozwija się o wiele lepiej. „Język świata” zadamował się w Bułgarii, ma tam wielu sympatyków i propagatorów. Czerny przebywał w Bułgarii dłużej niż dwa dni na imprezie oficjalnej i siedem na prywatne zaproszenie Bułgarów. Właśnie prywatnie, a nie oficjalnie kontakty, najlepiej służą rozwijaniu idei.

Największym przeżyciem była wizyta Japończyków. Koresponduje z nimi kolega, ten od pierwszych, esperantkich kroków. Do pierwszego spotkania doszło w Warszawie, w „Forum”. Tam też umówili się, że japońskie małżeństwo odwiedzi ich w Bytomiu.

Czekali niecierpliwie razem lub, gdy nie było takiej możliwości, na zmianę wychodzili na stację. Miał umówiony termin, a Japończyków nie było. Stracił już nadzieję i wtedy właśnie przy-

jechali. Byli, wysoki urzędnik z mias ta Nagaja i jego żona. On miał ponad siedemdziesiąt lat, ona trochę młodszą. Mielili za sobą kilkadziesiąt godzin w pociągu. Jakis przypadkowy informator skierował ich do Bytomia Śląskiego. W tamtym Bytomiu dopiero pokazyli kartkę z adresem. Mimo zmęczenia nie chcieli się położyć. Intrygowało ich egzotyczne otoczenie, sprawy które goś podarze uważali za coś normalnego, dla gości były wielkim przeżyciem. Wzajemnie się poznawali, objaśniali siebie i odmienne realia swoich krajów. Jedno było w stu procentach zrozumiałe — język, jakim się porozumiewali. Japończyk wstał o świcie i po porcji porannej gimnastyki wyruszył ze szki cownikiem na piesze wycieczki. Później otrzymali z Japonii rysunki Bytomia wykonane ręką japońskiego gościa. W czasie jednej ze wspólnych wycieczek encien się dowiedzieć, kto jest właścicielem lasu kogo którego przejeżdżali. Radość była obojętna, gdy wyjaśniono im, że las jest „niczy” i że, jak najbardziej, można po nim chodzić. Wspólnie wyruszyli do Zielonej Góry, do Muzeum Ziemi Lubuskiej. Stremwowany przewodnik objaśniał zbiory, bytomianie tłumaczyli, a Japończyk wydawał westchnienia zacinwytu. Do grupki dołączyło się kilkunastu Polaków i nie tyle podziwiali zbiory muzeum, co „biegła znajomość japońskiego” u Janusza i jego kolegi. Zaczynający Japończyk kłaniał się pracownikom muzeum i rozdał drobne monety na pamiątkę. Ukonionem nie było końca, gdy otrzymał od przewodnika katalogi wystawowe. Polska bywa często przedmiotem podziwu i zdziwienia dla zagranicznych gości, ale Japończyk wyczerpał chyba porcję zdziwienia na kilka lat. Dlatego nikt nie zarażała na ruinach tego pałacu? Dlatego ta pani na nas krzyczy, zamiast obsługuwać? Aż po banalne — czy ten pociąg się wykołczy, już dawno powinien przejechać? Swoje wędrówki po Polsce opisał później w gazetce esperantystów japońskich.

Tak więc Bytom widział już Finów i Japończyków, przywykł do Niemców. Za rok zobaczy Brazylijczyka.

A z tymi naturystami to głupia sprawa. Wyszło w gazetce, że każdy esperantysta to naturysta. Ktoś coś usłyszał, ale nie za dokładnie. Esperantysty grupują się w różnych sekcjach zainteresowań, są wśród nas i naturysty. Ale ja nie jestem naturystą.

Idziemy z Czernym w kierunku sta-

cji: — Wiesz, jest już ciemno... Mnie tu znają. Lepiej będzie jak ciebie odprowadzę.

# HALLEY, KOMETY I... KOBIECY

Jerzy Piotr Majchrzak

Za pradziadka mówiono jeszcze „ten kometa” i można powiedzieć, że od roku pierwszego ten kometa nie zasypiał gruszek w popiele. Wiara była powszechna, że on to zalał strzechę biblijnej stajenki olśniewającym blaskiem; że on to — „krwawą kometa” przerażającą tunią długą płomieniem sklepi niebieski, zapowiadającą przybyciem słońca w roku 78 straszną katastrofę Pompei i Herulanum; że on to anno domini 1531 zwiastował rychły upadek inkaskiej cywilizacji, wypędzenie luteranów z Polski w roku 1607; że on to objawił Francji Ludwika XIV, nadejście ery pani de Maintenon, królewskiej metry, po której lud spodziewał się jeszcze czegoś gorszego, niż pojawienie się „komety z długim migotliwym ogonem”, który faktycznie przeleciał nad dopiero co założonym Wersalem w roku pańskim 1682; że on to triumfował nad polem kunowickiej kleski butnego Hohenzollerna z Sanssouci w roku 1759 a potem wyłonił na kosmiczne wysokości akordy haydnowskiej pierwszej symfonii; że on to w 1834 — „gość niebieski nad jeszcze nie osłupiał bitemi rubieżami listopadowej insurekcji” — i myśli wszystkich pociągał ku sobie, kometa pierwszeństwa i jak miecznik trząsł się i lud patrzący niesłychanie trwożył...

Mineło zaledwie siedemdziesiąt kilka lat a pojawił się ponownie. Tym razem, jeżeli wierzyć językoznawcom jako „ta kometa”. Będąc w kursie sprawy feli-tonista „Tygodnika Zielonogórskiego” pisał na kanwie tej metamorfozy w wydaniu gazety z 10 lutego 1910 roku: „Niewątpliwie kometa spełniała w naturze nader pozytywną rolę — jak kobiety. Są tajemnicze, piękne i ekscentryczne — jak kobiety. Świecą złośliwym blaskiem, najintensywniej nocną porą, emitując wódnoczą światło najdelikatniejszej, podniecającej i usypiającej zarazem. Wprowadzają uczonych i innych mężów do stanów euforii, pozwalają się odkryć, zbadać — nigdy! Pilnie strzegą swojej tajemnicy — jak kobiety. Cóż pozostaje nam, tej brzydziej stronie ludzkości, czynić? — te pierwsze obserwować i podziwiać, te drugie — kochać!”

Przyznać trzeba, że poczyty, leżący już blisko 120 lat „Tygodnik Zielonogórski” z heroiczną determinacją odznęwał się od wszelkich katastroficznych prognoz, których ówczesna prasa nie skąpiła swoim czytelnikom, i w przeciwnym razie — „Gazety Sulechowskiej”. „Koniec świata nastąpi 18 maja 1910 roku”; „Gońca Dolnośląskiego” (Głogów); „19 maja 1910 roku będzie po wszystkim”; „Dziennika Zagłębijskiego”; „Kto przeżyje gigantyczny pożar ziemi”; „Zielonogórska gazeta zamieszcza w wydaniu specjalnym z 16 marca 1910 roku, pod szokującym tytułem: „Wiele hałasu o nic!”, obszerny materiał poświęcony „kosmicznej piękności” i z przynależnym „okiem omówiła ewentualne skutki „pocutunku kosmicznej lady ze starą, pomarszczoną ziemią”. „Na dobrą sprawę, gdyby tak ówa ognista dąma przepłynęła przez solidną, wytrzymałą, zmieszczoną się w kleszcze kamizelki i jeszcze pozostała nieco miejscem”, informowała gazeta, a że tradycyjnie uchodziła za organ zawsze najlepiej poinformowany dodatek z całą powagą, że „rzecz o wytrzymałość” jest jak najbardziej autentyczna, gdyż pochodzi od samego Williama Herschla, autorytetu niepodważalnego w sprawach „kosmicznej biotopologii, uprzedziwie przez Edmunda Halleya” zapowiedzianej, ale zawsze budzącej niepewność, gdy zapuka do ziemskich drzwi”. W innym miejscu, gazeta jakby obawiając się niewłaściwej reakcji czytelników na słowo „zapuka”, pospieszyła z dodatkowym wyjaśnieniem pisma samego Dyrektora Greenwicha Roberta Balla, które, zdaniem redakcji, powinno definitywnie rozwiać wszelkie wątpliwości co do skutków, gdyby faktycznie „zapukała”. Otóż sir Robert Ball użył bardzo obrazowego porównania: „gdyby potężny dinozaur, w pełnym biegu, zderzył się z pałacem, skutki byłyby takie same. W roku 1861 ziemia znalazła się w zasięgu ogona komety, czy ktokolwiek cokolwiek wówczas odczuł?”

Niewiele pomogły „najlepiej poinformowane” dodatki specjalne „Tygodnika Zielonogórskiego”, gazety bądź co bądź o zasięgu ponadregionalnym (tak! można ją było nabyć z dwudniowym opóźnieniem nawet w Wiedniu), kiedy to redakcja zamieszczała 21 kwietnia 1910 roku szokujący inzerat z Sienawy Zasklej. Wiadomość była tak nieprawdopodobna, że wydrukowano ją bez redakcyjnego komentarza. Otóż za zgodą inspektora szkolnego starostwa żyrardzkiego zamknięto w Sienawie „zasklej” szkole elementarną, gdyż „budynki szkolny stoi w samym środku punktu zderzenia się komety z ziemią”. Wiadomość ta przez drukowały i skomentowały niemal wszystkie opozycyjne liberalno-demokratyczne i socjaldemokratyczne gazety w Niemczech, a „Tygodnik Zielonogórski”, kiedy inzerat potwierdził się „jako całkiem prawdziwy” orzekł piórem swego

szefa Ulricha Levysohna, że „pojęta głupoty niektórych pruskich urzędników szkolnych a d. 1910 przewyższa to wszystko co kiedyś wielki Erasmus na ten temat napisał”. Starosta żyrardzki von Zeissdorff uznał komentarz gazety za „destrukcyjny, obrażający urząd i urzędników królewskich”, wniósł sprawę do sądu, uzyskał wyrok skazujący U. Levysohna na zapłatę grzywny i... nową rubrykę w „Tygodniku Zielonogórskim” pod nazwą „Listy ciemnych meżów” (Dunkelmännerbriefe), na której treści składały się najbardziej bzdurne wyobrażenia i reakcje związane z kometa Halleya.

Główna była sprawa kopania głębokich ziemianek we wsi Zawada koło Zielonej Góry, bo: „jak nam się zagrody spała w ogniu piekielnym diabła ogona antychrysta, to gdzie się podziemy?”, uzasadniał fakt wykopywania ziemnych jam jeden z mieszkańców Zawady reporterowi gazety. Tragizm tej niedorzecznej historii polegał na fakt zaangażowania się w tę sprawę miejscowego pastora, grząskiego z kazalnicy o sędzie ostatecznym, którego zwiastunem jest owe „odtrącone przez Pana i na potęgę nie skazane ciało antychrysta”.

W Konotopie miejscowi „weterani roku 1870/71” ogłosili, że to „liberalowie i socjaliści sprowadzili tę piekielną maszynę, aby przy jej pomocy obalić przez Boga i Króla ustanowiony porządek społeczny”.

W Przewoźnie niejaki Metke zaatakował miejscowego nauczyciela za to, że ten „jakieś rury dalekowodzące na wieży zamkowej ustawił i podglądał to diabelskie stworzenie, które jest sprawcą pomoru trzech jego młecznych krów”. Interwencja będącego w pobliżu grabarza uchroniła nauczyciela od zrużnienia go wraz z jego przyrządami optycznymi z wieży przez oszalełego ze strachu Metkego.

W Klenicy w nocy z 18 na 19 maja 1910 roku były bez przerwy dzwony w celu „odstraszenia przybysza piekielnego”.

W Niedoradzu odnotowano nieudaną próbę samobójstwa całej rodziny, która „nie chciała być świadkiem końca świata”.

W celu położenia kresu tej zbiorowej psychozie strachu redakcja „Tygodnika Zielonogórskiego” postanowiła na swój koszt zaprosić do Zielonej Góry znanego astronoma i przyrodnika, prof. Archenholdta z obserwatorium astronomicznego w Poczdamie na cykl prelekcji o komecie Halleya. W dniach 20 i 31 maja 1910 roku w Zielonej Górze a potem kolejno w Sulechowie, Nowej Soli, Kołobrzegu i w Żarach prof. Archenholdt wyłuszczał przybyłym na te spotkania wszystkie kwestie związane z tym zjawiskiem.

Nie obeszło się bez incydentów. W Kołobrzegu fanatyczni zwolennicy końca świata usłowoili nie dopuścić do wygłoszenia odczytu, grożono anatemią tym wszystkim, którzy odważą się wysłuchać „bezbożnika”. W Żarach dyrektorzy protestanckiego i katolickiego gimnazjum pod karą relegowania ze szkoły zabronili uczniom udziału w spotkaniu z prof. Archenholdtem. W Lubsku i Gubinie wnoszono modły do papieża Piusa X, aby ten swoim autorytetem „odwrócił bieg wypadków”. W Krzyżowicach szturmowano browar i gorzelnię, „jak mają trunki wyparować wraz z końcem świata, to niech wyparują wraz z nami!”.

„To było przerażające!” — pisał „Tygodnik Zielonogórski” na początku czerwca 1910 roku, kiedy namietności wokół komety znacznie ostygły i... nie się nie stało. „W dobie elektryczności i aeroplano, w środku Europy, w państwie cywilizowanym, które bardziej na miano Ciemnoprodu zasługuje niżeli na miano oświeconego, chlubiącego się znakomitymi uniwersytetami, akademiami, rozwinętym szkolnictwem, zatrumfowała przerażająca niewiedza, zacofanie i fanatyzm”.

Warto na zakończenie przypomnieć pewną historię z roku 1839, jakże uzupełniającą komentarz gazety z czerwca 1910 roku. Na wiadomość o odbywających się w Królewskim Teatrze w Berlinie próbach „Natała miedra” Lessinga, król pruski Fryderyk Wilhelm III zareagował kategorycznym zakazem wystawienia tej sztuki. Do hrabiego Wittgensteina, dyrektora scen królewskich, powiedział, że nie widzi powodu „bredzenia o wolności, równości i tolerancji”, gdyż jego poddany całkowicie wystarcza znajomości takich pojęć jak — „tak jest”, „według rozkazu” i „naprzód marsz!”.

## OPIS CHOROBY:

z zielonogórskich akademików — Wcześniaka, Rzepichy, Piasta — do centrum miasta jest kilka kilometrów. Wyjście na wystawę, do teatru i kina — to cała wyprawa. Nie tylko trzeba się „ubrać”, ale i wykreślić kilka godzin, zdusić w sobie NUDE, na moment spróbować w coś uwierzyć i czymś się zainteresować. Zaczynam od opisu choroby, a powinienem poszukać pacjenta — GDZIE JESTES STUDENCIE?

Zapewne tak rozpoczynać się powinien reportaż-sledztwo poszukujące od powiedzi na nurtujące społeczeństwo i animatorów ruchu kulturalnego pytania — dlaczego dzieje się tak, że najmłodsza inteligencja polska rzadko, a może wcale nie uczestniczy w odbiorze kultury? Gdzie tkwią przyczyny? Czy jest to efekt niewłaściwego lub żadnego wychowania estetycznego, za co winę ponosi zarówno dom rodzinny, jak i szkoła podstawowa, i średnia? A może — szczególnie, gdy chodzi o humanistów i przyszłych pedagogów, istotny jest brak uczulenia, np. przez wykładowców na potrzeby oglądania i słuchania? Gdyby przyczyną poszukiwać je- szcze w socjologicznym przekroju zielonogórskiej społeczności studenckiej — w większości małomiasteczkowej i wiejskiej, bez większych doświadczeń i ambicji kulturalnych?

## Gdzie jesteś studencie?

Małgorzata Kowalska - Masłowska

W obliczu faktów, które poznałam zbierając materiały do niniejszego artykułu, faktów w dużym stopniu dementujących moje prywatne odczucia i społeczne obserwacje, decyduję się na przywołanie pewnych scen towarzyszących nie tak odległym czasom moich studiów. Scen autentycznych.

## HISTORIA CHOROBY:

przypominam sobie Schaefera w filharmonii — szesnastu widzów i dwie młode twarze. Pamiętam również koncert w empiu i jedynie dwóch studentów małżeństwa Lubochów wśród słuchaczy. Na zeszłorocznym, bodaj mój wym występie warszawskiego aktora z poezją Stachury — trzy studentki. Na scenie kameralnej teatru, przynajmniej — wypełnionej do ostatniego miejsca, na monodramie „O długim czekaniu” według Tomasa Manna, w wykonaniu Haliny Mikolajskiej — jedynie kilku studentów polonistyki. Przykłąd — jedynie można mnożyć i potwierdzać tezę o nieuczestnictwie studentów w kulturze miasta. Czy jest to bierność rzeczywista czy też przerysowana? Niech na to pytanie odpowiedzą nam sami studenci...

## BADANIE ORGANIZMU:

dyskusja nad postawionym zarzutem zebrała głosy magistrantów historii, filologii germańskiej, matematyki, fizyki, wychowania muzycznego i wychowania technicznego. Studentów tzw. aktywnych i znanych w środowisku, ale i kolegów. Zgadza się z ogólną diagnozą bierności, podają przykłady swej obecności w propozycjach kulturalnych Zielonej Góry.

Waldek: — Rzeczywiście, bardzo dawno nie byłem w mieście na imprezie. Więcej byłem w Warszawie niż tu, to chyba naturalne.

Sylwek: — Ja z kolei często wybieram się „do miasta”. Ostatnio oglądałem E-dytę Geppert, teatr Mądziaka z KUL-u i przedstawienie Teatru „Ochota” Machulskich. Nie można mówić, że nie „chodzę”. Wiele osób np. ogląda filmy w DKF-le sali debowej Biblioteki. Choć prawdą jest, że więcej chodzi się do kina niż gdzie indziej.

Waldek: — Zastanawiam się, skąd to się bierze. Przyczyn szukałbym już w okresie strajków studenckich. Wtedy tylko nieliczni naprawdę wiedzieli, czego chcą. I choć pojęcie wewnętrznej emigracji wydaje się nadużywane, to prawda jest, że są autentyczne przypadki takiej postawy. Bywają też niestety wypadki, gdy hasło ukrywa własne lenistwo, nawet nieuctwo. I to może być mocniej widziane od zewnątrz. Narzeka się na inteligencję — to popularne. M. Rakowski w wywiadzie udzielonym 1. Dzielnicę przytaczając fragment wypowiedzi Gomulki krytykującego inteligencję po fałszywym przebiegu kryzysu —

stwierdzał, że inteligencja jest nośnikiem idei i jako taka skazana jest na łanie w razie niesubordynacji. Pociąga to za sobą krytykę studentów. Odnoszę wrażenie, że po strajkach nastąpiła próba dyskredytacji roli studentów, nie zauważania ich (pojawiały się informacje o konsultowaniu z robotnikami ustawy o szkolnictwie wyższym...).

Sylwek: — Gdy mówimy, że nie widać nas na wystawach, koncertach — to problem tkwi w czymś innym. Nawet my między sobą się nie znamy. Twierdzenie o małym środowisku, to tylko pozor. Nie wyróżnia nas strój, odznaka — nie wiemy więc, czy ktoś stojący naprzeciw jest studentem czy nie. Jak więc może to rozpoznać ktoś postronny i demonizować, że nie ma studentów w życiu kulturalnym miasta.

Krzysiek: — Nie ma już czapek studenckich. Kiedy pięć lat temu zaczynałyśmy studia — mieli je prawie wszyscy. Gdy wyjechał nasz krakowski dostawca „Docent”, skończyła się możliwość zewnętrznej rozpoznawalności środowiska.

Waldek: — Gdyby pozostać przy problemie rzeczywistej bierności naszego środowiska, to uważam, iż nie wszyscy są „kulturalnie” zaangażowani. Otóż, ranga studiów bardzo upadła. Uczenni-

skie? Grają to już tak długo... W kinach repertuar grany jest na okrągło ten sam, jak na karuzeli. Ile razy można oglądać wciąż ten sam film? A nasza filharmonia? Na „Rapsodie” Gershwin wybrał się, żeby usłyszeć „wspaniałe brzmienie” instrumentów dętych. Ale śmiechy nie zagłuszyły orkiestry. Uważam, że nie ma na co pójść. Był na przykład koncert, na którym wystąpił wiolonczelista z Argentyny i dyrygent z RFN. Tymczasem koncert miał obcych i specjalnie sprowadzonych muzyków nie dostarczył żadnych przeżyć estetycznych. Był żenujący. A co dzieje się w takim domu kultury?

Sylwek: — Dzieje się tak, że gdyby ktoś chciał — usłyszałby o studentach. Niedaleko WSP działa klub „Maja”. W nim udzielają się chłopy z pedagogiki kulturalno-oświatowej. W październiku zorganizowali zabawę dla dzieciaków z osiedla. I było bardzo głośno. Słychać i widać było nawet z autobusów „sódem ki”.

Marek: — Wszyscy chodzimy szare. Proszę popatrzeć — ludzie z miasta też nie umieją się bawić, są smutni, trudno im się doświadczyć. Kontrolują własne reakcje. Najpierw musieliby zmienić siebie, dopiero potem wyrokować... Nie możemy się bawić — to chy-

ba znak czasu. Dopiero z dziećmi można coś zrobić. Ale przecież u nas nie ma koncepcji kulturalnego zachowania dziecka. Wszelkie kluby, pracownie są przepiękne. Rodzice często odchodzą z kwitkiem. Wszystko nam się komercjalizuje. Kultura również. Obserwując najmłodszych jestem pełen niepokojów i myśli o naszej kulturalnej przyszłości.

Adam: — Każde działanie ma w sobie coś połówicznego. Myślę o tych działaniach, które nastawione są na zdobycie wiedzy, słuchacza. Zgodna na salony gier i bary rozrywkowe jest zarazem zgodna na kulturę fałszywą. Choć wszystko jest dla ludzi. Ale jeśli teraz są konkretne stawiane nam zarzuty — to wcześniej popełniono ważny błąd. I nie jest to tylko nasza wina. Jak wygląda sprawa komputeryzacji? Duży szum, niewiele sprzętu w szkołach, mało fachowców i przede wszystkim strywniałe zowanie problemu do prostych i banalnych gier: nacisnąć guzik i żółwik idzie w jedną stronę, nacisnąć drugi — żółwik maszeruje w przeciwną. Nie uczy się języków komputerowych, logo, basic, nie mówiąc już o programowaniu mikrokomputerów do różniczek, równań kwadratowych, funkcji trygonometrycznych. Tak wygląda technika wśród najmłodszych. Jak będzie wyglądała w przyszłości? Po dołbie — w sprawie kultury — armaty strzelają w niewłaściwym kierunku.

Marek: — Środowisko nie proponuje i nie daje możliwości wykazania się w kulturze.

Waldek: — Nad całym tym problemem zawisło fatum masowości i utożsamienia społeczności studenckiej z masą — hałaśliwą i dużą. Odsłonił się wiele stron naszej zewnętrznej aktywności i odnoszę wrażenie, iż wiele zarzutów powinno po prostu zmienić kierunek. Co oczywiście nie uwalnia od dalej istniejącego problemu odbierania propozycji kulturalnych — powszechnie i na co dzień. Nie tylko przez środowisko studenckie.

## PRÓBA DIAGNOZY:

Odnoszę wrażenie, że odległość, jaka dzieli ratusz od domów studenckich, jest wprost proporcjonalna do naszej publicznej niewiedzy o młodej mikrospołeczności. Czy jest rzeczywiście tak, jak mówią? Ze problemem nie są pieniądze na bilety wstępu, lecz atrakcyjność programów? Czy zmiana obyczajów, wyciszenie środowiska jest wyrazem krępcenia form braku zewnętrznych wyróżników i zapewne nieświadomego zamknięcia się w getcie własnych akademików? Być może sale wystaw i teatru pełne są przyszłych inżynierów i naukowców, ale tylko przez kilka dni (pozdziel liche studentów przez ilość krzesel...). Pewne jest, że dyskusja powiek szęć powinna się o głosy naszych instytucji kulturalnych. Kolorem naszych czasów jest szarość. Czyż więc jest tak dobrze, czy też przeciwnie — tak źle?

W głębi izby, na ławie obok pieca, zobaczył drzemającą Anielkę. Przysnęła czekając na niego. Nie obudził jej ani skrzypienie drzwi, ani promienie słoneczne, które wdarły się hurmem przez okno od wschodu, baraskując po półkach wzdłuż ścian, gdzie Jonasz zgromadził stare menory, kielichy rytualne z gwiazdą Dawida, wypłowiałe talisy, oprawne w wybruszoną skórę Talmudy i Tory — wszystko, co ocalało ze spalonej synagogi. Miodowe włosy Anielki spływały wzdłuż pieca, jakby je wywiesiła do suszenia. Pod ławą drzemały dwa rude koty. — Niech będzie pochwalony, krasawico — powiedział pół głosem Jonasz. — Marnujesz swoje ciepło, rozgrzalasby mi lepiej stawy.

Anielka uniosła powieki i popatrzyła ze zdziwieniem, bezradnie. Pewno wracała z daleka. Pomału Jonasz, uśmiechnęła się do niego. — So kolk to taki jest, że nie da się zdrzemnąć do samego ranka — powiedziała. — Zmoczyło mnie. Różowa żorżetowa bluzka pełna była piersi, nie skrzypiały stankiem, słocznym w niedopiętym dekolicie. Jonasz zerknął, oblizał się; siadł w wytartym pluszowym fotelu, wyprostował nogi, ściągając, postępując, ubłocone buciska.

— Co ci się sniło? — zapytał.  
— Ciągło to samo. — Rumianą twarz Anielki ogarnął zawstydzony uśmiech, ryjąc dolki w policzkach i brodzie. — Małuchy. Pełen dom małuchów... Ale krzyku było! Takiej, wie pan, wesołości...

— Wiem — Jonasz wyszczerzył zdrowe, rzadko rozstawione zęby z żółtym nalotem od tytoniu. — Rodzić powinniś. Z takimi biodrami!

— Rodzić każda suka potrafi. Małuchom potrzebni ojcowie. Ja właśnie po to, panie Jonasz... Chinine brałam, nie pomogło.

Jonasz zdjął kurtkę, potem koszulę i przemoczone powyżej kolan spodnie. Anielka bez skrępowania oglądała jego żylaste muskularne ciało, brunatne, bez fatyki tłuszczu. Został w krótkich gaciach. Przeciągnął się, ziewnął.

— Niesprawiedliwość, Anielka. Rodzą się różne pokarki, przykurcze, kurdupelki, a ty byś na świat wydała mojąćców. Grzech marnować dar boży.

— Potrzebni ojcowie.  
— Już ci mówiłem, że mogę być dla nich ojcem. Dam nazwisko każdemu, którego powiesz. Niech będzie w Krasnogaju choćby i tuzin Hofów.

— Pan nie pożyje długo — powiedziała Anielka. — Stary pan jest.

Jonasz podszedł do Anielki, leciutko uszczypnął ją w policzek zrogowaciałymi paluchami.

— Nie stary, tylko urodzony dawno temu. Różnica, dziecińco. Celestyn jest stary. Parhoń dzadga. Pudrycy przeżył nawet własną śmierć. Ale ja dopiero żyć zaczynam. Jeszcze pożyję, ha, ha! — Aż pan ustrzeli Lucyfera?

Śmiech Jonasza zgasił jak zdmuchnięty przeciągiem. Pociągnął do siebie, uniósł piwniczną kłapę, zlął po drabinie na dół, przyswiewając sobie latarkę. Wrócił do izby z parą zakurzonych flaszek. Jedną musztardówkę napenił płynem rubinowym, drugą seledynem i ten seledyn pchnął po stole w kierunku Anielki.

— Do dna. Powinno ci pomóc.  
Anielka pośpiesznie, szybkimi łyżkami opróżniła musztardówkę.

— Mocne!... — sapnęła. — Już mi się w głowie kręci.

— Ustrzeli Lucyfera. — Jonasz cedił niespiesznie swój przedkrośzty rubin, wpatrując się nie ruchomo w dębowa czern stołu. — Któregoś dnia dwie kule między rogi. A wtedy wszystkie dni poprzedzające ułożą się w drogę do celu i każda minuta życia będzie miała swoje wytłumaczenie.

— Śmieją się z pana.  
Jonasz znówu napenił musztardówkę, pchnął seledyn ku Anielce, lyknął swego rubinu.

— Ich minuty nie złożą się w całość — powie dział. — Osobno pija, osobno dupczą, osobno kom binują, żeby do jutra. Nie rozumieją gwiazd. Dlaczego, na przykład, Droga Mleczna. Próbowaliśmy pojąć?

— Jest, bo jest — Anielka uśmiechnęła się bezradnie, końcówkę uśmiechu skryła w musztardówkę, lykając lakomicznie gęsty seledynowy likier o zapachu macierzaneki.

— Wzór nam dano, żebyśmy mogli przejrzeć się jak w lustrze. Ped, wirowanie, wpływ wza jemny pól grawitacyjnych, cykle śmierci i narodzin. A w tym wszystkim ład. My wewnątrz. Dlaczego o siebie nie dochodzimy do ładu? Natura może się zirytować na maruderów, szkodników.

— Co wtedy? — zapytała sennie Anielka.

Jonasz wykonał półobrot, wskazując na półkę, gdzie obok siebie stały trzy grube księgi w pergaminowych wyblakłych opawach: Talmud, Koran, Biblia.

— Tam są pytania i odpowiedzi, wszędzie ta sama. Przepowiednie mędrców nie są do śmiechu ale coś trzeba robić.

— Pan nie robi.

Jonasz dźwignął się zza stołu. Jego tors pokryty był gęstą skorką. Ruszył w stronę łóżka, wsunął się pod pierzynę.

— Zimno mi jest — powiedział. — Mało spałem tej nocy.

— Ja wcale nie spałam. Ten świntuch Sokolik...

— Chodź do mnie. We dwoje łatwiej się za grzać.

— Pan bardzo chce?

— Bardzo — przytaknął Jonasz.

Przez szczyliny zmużonych powiek obserwował, jak Anielka rozpina bluzkę, potem zdejmując spódnice i majtki, a na końcu rozczepiane pantofle na niskim obcasie. Odsunął się, żeby zrobić jej miejsce. Kiedy legła przy nim, wsunął dłoń między gorące uda i fale ciepła popłynęły od ciała do ciała, przywołując senność. Przed zasnięciem Jonasz zdążył jeszcze pomyśleć, że legendę o wampirach na pewno wymyślił starycy.

XXX

W narożnym, krytym poczerwiałą dachówką domu, mieszcila się mydlarnia Anielki.

Była otwarta. Anielka sztydelkowała za ladą. Na półkach, ułożone w piramidę, piętrzyły się mydłańciki z różowego plastiku i pudła pasty do podłóg. Pachniało naftą. Pudrycy uśmiechnął się do Anielki, a ona odpowiedziała mu swoim sennym, dzieciennie kuszącym uśmiechem. Nawet w niebieskim satynowym fartuchu było jej do twarzy; oczy ciemne, wielkie jak spoki, ocie nione gęstwiną długich, podwiniętych do góry rzęs, wargi rozchylone i pulchne, do całowania. Pora wyjść za mąż, pomyślał Pudrycy, ale za dobra dla chłopów, do żeniactwa trudno będzie o chętnego. A gdyby ja ożenił się z Anielką?

Może głos Jasnoci to miał na uwadze, nakazując mi powrót? Miałbym obłady domowe, koszu le wyprasowane bez faid, wypucowaną do blasku podłogę i ciepło w łóżku. To ciepło jest do rozważenia, nawet za cenę przesmiewek szwa grów.

— Wyszłabyś za mnie? — spytał.

— Coś ty... — przeciągnęła Anielka, nie przestając sztydelkować. — Raczkę „ixi” ci odłożyłam z wczorajszej dostawy.

— We dwoje to we dwoje.

— Zygrydowi ślubowałam, przecie wiążę.

— Durna jesteś, Anielu — powiedział Pudrycy łagodnie. — Miłość ślubować to dać słowo, że sionko nie zajdzie. Zygryd skończył służbę wojskową cztery lata temu i nie wrócił, nawet nie napisał listu do ciebie.

— Co ci o tego?

— Mieszka pewnie w jakimś Olsztynie czy Koszalinie, ma żonę, dzieciaki, dawno o tobie zapomnieli. A gdyby nie miał żony z dziećmi, wrócił tutaj i usłyszał o Sokoliku, Jonaszu, Parhońu, doktorze Samosiejce, prezisie Kowalskim...

— Co ty mnie podliczasz...

— ...że nie wspomnę o sobie, dałby dyla niczym zając sięgany.

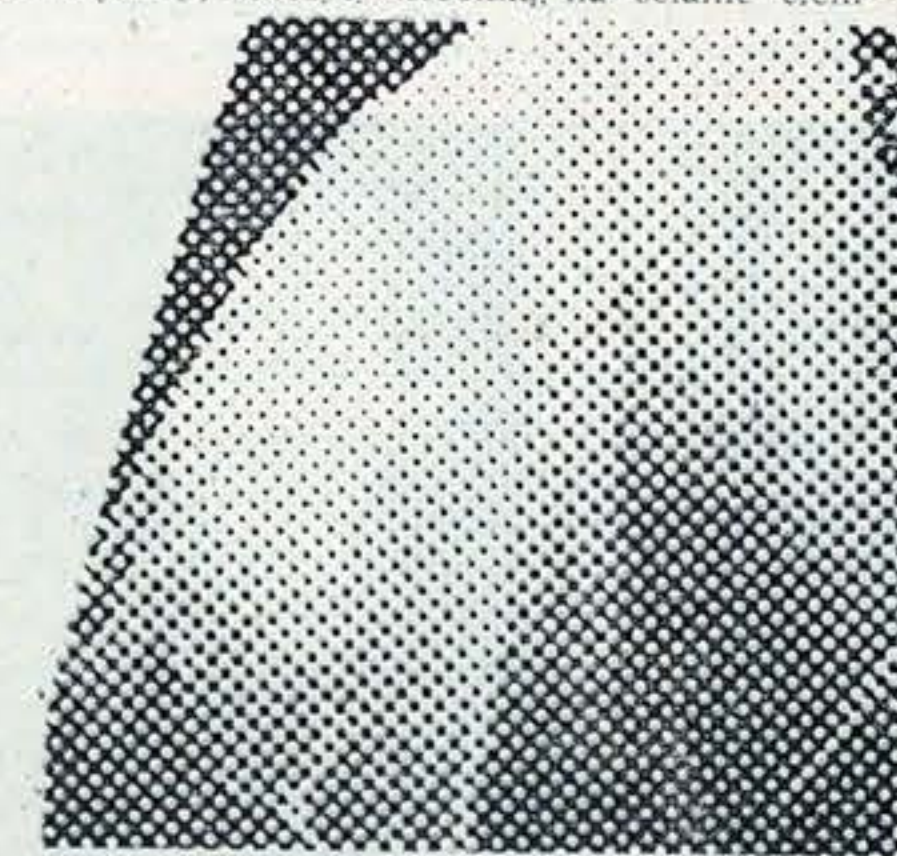
— Nie ty nie wiesz o Zygrydzie. Weźmiesz „ixi”?

— Nie potrzebuję. Lesłowa robi mi przepierki z własnego przydziału. Zamknij sklep i chodź my na chwilę do ciebie.

— Teraz, w biały dzień? — zapytała bez zdziwienia Anielka. — Aż tak cię przypiliło?

— Nie przypiliło, tylko mam sprawę.

Anielka wbiła szydełko w kłóbkę włóczki, wyszła zza ladę i zawiesiła na drzwiach tabliczkę „Wyszedł do banku”. Zgrzytnął klucz. Poszli na zewnątrz za przepierzenie i mrocznym korytarzykiem powędrowali do części mieszkalnej, pełnej kolorowego pluszu: na oknie wisniowy z frędzlami, na kozetce pomarańczowy w kwiatki, na stole le białynny, obszyty koronką, na ścianie ciem-



Aleksander Minkowski

nozielony z tłoczonymi landszafem przedstawiającym sarny u wódopoju na tle jaskrawej dzu ngi z papugami. Anielka wskazała Pudrycemu otomane i przeszła do kuchenki, żeby nastawić czajnik. Słyszal, jak ciurka woda z kranu, syczy podpalony gaz, pobrzekują fajansowe filiżanki. W prześwicie uchylonych drzwi widział krągły zadek Anielki opięty białym fartuchem i naptem poczuł znajomą suchość w ustach, ale odpędził pragnienie jak natrętne muszysko. Kiedy Anielka wróciła z herbatą do pokoju, rozłożył już na stole arkusz podaniowego papieru w kratkę i przygotował długopis.

Dlaczego jeden zadek robi sucho w pysku, a inny, choćby krągłszy, nie robi? Przypodniży sekret. Marynia z zakładu fryzjerskiego jest uro dziwsza od Anielki, biust posiada jak włoska ak torczyca, biodra jej się kotłują przy chodzeniu niby lód na fali — i żaden chłop nie westchnie. Według Jonasza Anielka kusi dziecięcinością, która jest jak naiwna świętość: męski ród lakomy na to. W każdym sapie diabeł.

— Co to? — spytała Anielka, wskazując na podaniowy papier.

— Papier podaniowy — wyjaśnił Pudrycy. — Pisz do mnie o przydziale czterdziestu arkuszy białych ocynkowanej na remont dachu.

— Nie mam potrzeby remontować dachu.

Pudrycy przysunął do siebie filiżankę z herbatą. Nic tak nie gasi pragnienia w upalny dzień jak herbaciany wrzatek. Chyba że piwo, ale na piwo u Anielki nie było co liczyć, alkohol przy nosiło się za sobą.

Lyknął. Sparzył sobie podniebienie. Przegrzył cynanowym gładczkiem.

— Nie musisz remontować — powiedział, żując starannie. — Kto inny musi.

— Niepiskiemny?

— Na głowę mu się leje, dzieciaki mokną. Ca ły dach trzeba przekryć, a przydziału są tylko na remont, do czterdziestu arkuszy. Trzeba pomóc człowiekowi.

— Jak pomóc, to pomóc...

Anielka przycupnęła na brzegu krzesła, ujęła w garść długopis i u góry po lewej stronie wywiodła starannie swoje imię i nazwisko. Treść podania Pudrycy sam jej podyktował; stał nad Anielką, dyktując słowo po słowie, a oko mimo woli zerkano w wycięcie fartucha, zapuszczając się coraz głębiej, szperano smakowicie, jakby torując drogę dłoń, która najpierw opoczęła na dzie wczym ramieniu, później zsunęła się lekko, wreszcie nagłym zrywem wtargnęła w dekolt, oblaśniał zachłannie jedną pulchność.

— Coś ty — westchnęła Anielka. — Zmęczona jestem.

Złożyła właśnie podpis. Pudrycy drugim ramie niem objął ją wpół i pociągnął na pluszową otomanę. Nie sprzeciwiała mu się, gdy zaczął rozpinąć służbowy fartuch, pod którym miała tylko stanik i turkusowe majtki z czarnymi ob szyciem.

— Bądź miła — poprosił chrapliwie.

Anielka uśmiechnęła się z pogodną rezygnacją i rozchyliła uda, unosząc biodra nieco w górę. Miała świętą pamięć: nigdy się nie myliła co do zachcianek swoich przyjaciół, każdy dostawał wedle gustu.

XXX

Pudrycego wypełnia miłość, bezbrzeżna, bo lesiwa, współczująca, słodka. Zapragnął przytu-

lić do serca trzech kontrolerów, blondynę, prezisa Kowalskiego. Wszystkich. Nie wyłączając — uświadomił sobie — Huberta Molko, mimo że nog nie myje i jeszcze śmierzdi obornikiem. Wziąć w ramiona, ukolysać, pocieszyć: „Biedni wy moi, bezradni, przestraszeni, po czubek serca wypełnieni niepewnością, zdani na grę żywiołów, tęskniący wstydliwie do mamuski i ta tuśka — nie dam was skrzywdzić!”

To nie on kochał. Coś w nim kochało. Aż się zląkł, że go rozsądzi. Wchłoniął szklankę jednym haustem.

— Kocham was — wyszeptał do obecnych. — Biedni wy moi.

Zapadła cisza. Główny kontroler nie dokończył dowcipu o babie, której urwało cycęk. Po patrzył na podwładnych, potem na Kowalskie go, wreszcie na W.

— Co p-roszę?

— Kocham was — powtórzył magazynier.

Oblicze głównego napłynęło gniewem. Wbił w Pudrycego rozogniony wzrok.

— Wypraszam sobie! Schlał się pan, kolego B!

Prezes Kowalski pochylił się szybko do głów nego kontrolera i zapewnił go, że w zawołaniu W. nie ma złośliwości, natomiast po wypadku motocyklowym który zakończył się reanimacją, magazynie, miewa stany zamroczenia i belkotu, nie trwające długo, na szczęście, i niegroźne dla otoczenia; ponadto sok porzeczkowy jest odro-

ciepłość, zagarnął naraz oba pośladki pod sze roką spódnica.

— Tak tutaj? — zaprotestowała Anielka.

— Nie tak — uspokoił. — Tylko pogłaszczę.

— Ale mnie się zachciewa, wariacie!

Nie zaprzestał. Od dłoni popłynął do niego potok ożywczego prądu, którego miała w nadmiarze Anielka, a jemu zaczynało brakować i stąd marznięcie nadranne, strzykanie w kościach, chwilowe słabości kiedy nie zgiąby w łapach żelaznej sztaby. Anielce nie ubędzie, Jonasz się wzmocni; nie ma dla starców skuteczniejszego lekarstwa niżli żarliwe obmacywanie ciała dzie wczego, pod warunkiem, że samo się garnie. Przemoc nigdy nie wyjdzie na zdrowie, musi bowiem istnieć harmonia w przetaczaniu ener gii z ciała w ciało. Podobnie jest z na kładaniem rak — nie pomoże Jonasz niedowiar kowi, co przyszedł zakpić z niego. Bywali tacy. Jakis docent z Krakowa, żeby mu brakujące zę by odrósł Dziennikarka stołeczna udająca pa ralityczkę. To nie Jonasz sprawił, lecz moc czu wająca nad nim, że docent dostał szczękoscisku, a dziennikarkę wykreśliło, połamało, kurcze chwy tały przez tydzień.

— Za mąż ci pora, dziecińco — wyszeptał czu le Jonasz. — Czemu by nie Molko. Hubertowy synalek? Kursy jakieś pokończył. Kocha ciebie.

## Namiętność

binę sfementowany, co mogło również odegrać rolę.

— Jak ja was kocham... — westchnął Pudrycy.

— Ciep, ciep, ciep, gołabeczkę — odpowiedział główny i poklepał Pudrycego w policzek.

Blondyna zaciśnięła uda opięte dzinsami. W scenie, na którą patrzyła, było coś podniecającego. Nie wiedziała co, ale czuła się podniecona i bardzo pragnęła znaleźć się sama z Pudrycem. Szepnęła mu do ucha:

— Autobus mamy dopiero za pół godziny...

Dopijano kolejną szklankę, główny skończył dowcip o babie bez cycyka i zaczął o rebem w Oświęcimiu (wkładając go Niemcy do pieca, a rebe nie, więc polewają go dodatkowo benzyna i dalej nie. „Co to a cud, rebe?” — pyta piecowy. „Bo ja się do tego nie palę.” — odpowia da mu rebe, Kowalski rechotał, tracając pod władnych kontrolerów. Blondyna i Pudrycy wym knęli się niepostrzeżenie. Niby osobno — Pudrycy przodem, blondyna za nim dwa kroki — prze cięli ulicę, skręcili w lewo, w prawo, weszli na podwórze, do budynku. Pudrycy majtnął kluczem, wszedł do mieszkania, drzwi zostawił uchylone. Po chwili wpadła blondynka, zasunęła ry giel.

— Zobili to na podłodze. Od tyłu. Blondyna sta ła na czworakach i z głową zadartą wysoko cią gnęła coraz dramatyczniej wysoki ton, który ur wał się nagłym szmerem:

— Oh-hoo!... Ech!

Za pierwszym razem Pudrycy był jeszcze do bry. Nawet bardzo dobry, ponieważ mógł ten raz ciągnąć, nie to co smarkacz, który ledwo wło ży, już jest po wszystkim. Z wielkiem nabiera człowiek opanowania, techniki ruchu i dźwięku, sztuki reżyserii. Nadrabia tym postępująca oso wiałość wyobraźni i zanik zachłanności: to już nie dawny wańka-wstanka, któremu wystarczy ło zerknąć, powąchać. Drugi raz przychodził albo nie przychodził, zależę od obiektu, jego aktyw ności i zaangażowania. Komu potrzebny jest dru gi raz? Na pewno nie dojrziałemu mężczyźnie. A piąty, siódmy? Nimfomankom i zboczeńcom matematycznym. Zresztą, zależę jak liczyć: facho wiec z jednego razu zrobi osiem, a wdzięczna par tnerka pomnoży to jeszcze przez dwa.

Blondyna była partnerką wdzięczną. Kiedy skończyli, równo po dwudziestu minutach, pochwalila Pudrycego za nadzwyczajne kwalifikac je i wytrwałość godną najwyższego uznania.

XXX

Stali pod gruszą w księżycowym sieniu i Jo nasz prawą ręką mietosił się do cieni Anieli, a lewą zapuścił z tyłu między uda, wciągnął w Weźmiesz go do galopu, zadasz ostrogami, w am bicję, wbiejesz: wzorowe ma być gospodarstwo!

(Fragmenty prozy Aleksandra Minkowskiego pochodzą z powieści „Zmartwychwstanie Pudrycego”, Wyd. PIW 1984 r.).

Anita Simonjetz

budujemy dom  
z mocnych czułych ramion  
w ciepłej gęstwinie włosów  
dom  
o spadzistym dachu z dłoni  
oknami otwartych oczu  
ciekawych najbarwniejszych pór roku  
jeszcze teraz  
na wspólne zamieszkanie  
zaprosimy  
miłość  
szukałam domu  
otworzyłeś mi tajemne drzwi  
zapachniało chlebem  
świat miał wymiary  
twoich ramion  
noc gubiła gwiazdy w biegu  
czas się zadumał  
nad własnym przemijaniem  
coraz niżej  
chyliło się nad nami  
niebo  
więc sama sobie zadaje pytanie  
więc nim zaśniesz i ja blisko ciebie  
w dłoniach zamknij tę gwiazdę  
która nam zabłysła  
popatrz biegnie już jutrenka  
po różowym niebie  
popłyniemy daleko  
by odnaleźć przystań



## Malarstwo pulsujących emocji

Wystawa malarstwa Małgorzaty Wol-  
szechan — Kuźniarowej prezentowana w  
zielenogórskim Biurze Wystaw Artys-  
tycznych przypada na jubileusz dwu-  
dziestoletnia pracy twórczej artystki, de-  
biutującej w roku 1966. Jest to zara-  
zem wystawa niezwykle — stwarza bo-  
wem panoramę dorobku, którego roz-  
wój, ciągle doskonalenie warsztatu i  
nieustanne poszukiwanie sobie tylko  
właściwych środków wyrazu jest moc-  
no uchwytne, obserwowane od pierw-  
szych płócien, jeszcze „grzecznych” i  
szkolnych do jakże ważnych pejzaży.  
Wydało mi się, że wystawa, jak-  
kolwiek zamykająca pewien etap twór-  
czości, jednocześnie otwiera nową per-  
spektywę, w której widzimy inne wie-  
lenie — utalentowaną malarzkę-pejza-

doznawanych przeżyć, bądź wewnę-  
trzych niezgodności, każących ciągle  
zwracać się ku nowym bodźcom. Dla-  
tego wizje rejestrujące wrażenia przy-  
wiezione z Kuby wydają się doskonale  
i zupełnie skończone. Wyobraźnia wi-  
dzi — w czasie kontemplacji wszyst-  
kich pejzaży — zdoina jest już tylko od-  
biierać wrażenia. Cały skomplikowany  
proces estetycznego przetworzenia do-  
nał dokonać się w psychice artystki,  
nam pozostawiając jedynie zgodę na  
propozycję malarstwa. Ale tu znów ude-  
rza wewnętrzna zmienność wrażliwo-  
ści — pozwalająca na wielokrotne wa-  
riacje na temat tropikalnego krajobra-  
zu, każąca tworzyć kolejne wersje wła-  
snego przeżycia — ostateczne w po-  
jędynczym kształcie, a przecież wielo-  
wymiarowe w odbiorze całości. „Cuba”  
mocno odbiega od stereotypowych wido-  
ków skąpanych w słońcu palm i mo-  
rza. Jest wręcz odwrotnie: wyspa uka-  
zana została w porze deszczowej, w  
chwili, gdy po ogromnej ulewie nie-  
mal topiącej świat, pod wpływem cie-  
pła — ziemia szybko paruje, do gra-  
nic niemożliwości nasycając zielenie i  
błękity krajobrazu. Jest to wizja nie-  
tylko bardzo indywidualna, ale przede  
wszystkim niepokojąca — inna niż  
wcześniejsze prace M. Kuźniarowej, in-  
na niż może chcielibyśmy sami przy-  
znać. Odkrywa bowiem pewne pokłady  
intuicji artystki, jej podświadomość i  
orzeczucie tajemnicy bytu. „Cuba”  
jest bardziej baśnią aniżeli rzeczywistością,  
choć zapewne bezpośredni impuls przy-  
szedł ze świata rzeczywistego.

Artystka atakuje — widza kolorem,  
zmusza do rewizji własnych wyobra-  
żeń, przenosi na zaproponowane te-  
maty, które są przecież jedynie prete-

ności, a niepokojem, jaki towarzyszy  
interpretacji, logicznej bądź intuicji-  
nej całej zawartości płócien. I jeśli ku-  
bańskie reminiscencje niepokoją i przy-  
taczają swą ciężką, mokną atmosferą,  
to płótna powstałe po powrocie w Sy-  
rię zaskakują swą odmiennością konce-  
pcji malarstwa. Jak to zewnętrznie wy-  
gląda? Syria jest przede wszystkim  
gorąca — ruda, pomarańczowa, żółta,  
złota. Piasek zdaje się parzyć stopy, a  
oczy boją od patrzenia w bezkres pu-  
styni. Nasz uchwyt jest po mistrzowsku.  
W tym kryje się tajemnica malarstwa  
Małgorzaty Kuźniarowej. Jej wewnętrzne  
widzenie świata — oryginalne i wysublimowane — okazuje  
się jedynie możliwym dla naszych wy-  
obrażeń. Urzekające, panoramiczne, sil-  
nie pulsujące innym życiem inną kul-  
turą, obyczajem. Jak napisał J. Muszyński — artystka w swych ostatnich pra-  
cach była bliżej Edeu niż kiedykolwiek  
(z katalogu wystawy w Warszawie w  
lutym tego roku). Malarstwo Małgorzaty  
Kuźniarowej jest przede wszystkim  
jednym z wielkich przeżyć — odkrywcze  
i ujawnienie.

Wystawa prezentowana w BWA za-  
sługuje miłośników malarstwa Małgo-  
rząty Woloszechan — Kuźniarowej: za-  
brakło wiele tak znanych portretów dzie-  
ci (przypomnę, że moich ulubionych).  
Najważniejsze, iż zachowana została  
artystyczna spójność prezentowanych  
obrazów. Z rysujących się dwóch dróg  
— jedną pejzażową, najbardziej ewolu-  
jącą — już przedstawiliśmy. Druga  
ma wymiar raczej humanistyczny: ka-  
da postać i jej los ma dla artystki war-  
tość symbolu — obserwując chłopca  
cwalującego na koniu na biegach



zystkę. Dynamicznie rozwijająca się i  
zaskakująca odmiennością wewnętrznej  
transpozycji tematów zdawałoby się o  
czywistych. Pierwsze z pejzaży — bez-  
kidzkie — są przeżyciem na poziomie  
symbolu: oto nad krajobrazem niemal  
zawisła przegromna góra i zdmi-  
wała miasteczko, wieżę kościelną, przy-  
tulone u jej stóp. Ale nie ma w tym nic  
groźnego, gdyż linie brudzące ową gó-  
rę zapraszają do wspinaczki i zara-  
zem są zgodą na afirmację przyrody.  
tu — oświeconej monumentalnej, pięk-  
nej. O ile ten pejzaż nosi w sobie  
wartość wykrzyknika, impulsu nagle-  
go i wybuchającego, to drogi, wzdłuż  
których ciągną się toполе, są wycie-  
nieniem nastroju: po kontrapunkcie przy-  
chodzi uspokajająca fraza. W tym za-  
myka się niezwykle umiejętność malar-  
ki do przechodzenia w stany zupełnie od-  
mienne, jakby patrolujące różnej skali

kstem do ukazania własnej — dyna-  
micznej osobowości oraz indywidual-  
ności w procesie kreowania zestawu  
barw swych obrazów. I — albo trze-  
ba się zgodzić z odrębnością malarstwa  
wizji, zaaprobować jej odmienność,  
czasem jej wręcz arealistyczność bądź  
odrzuć i nie zgodzić się z tym świat-  
em bajki, dziecięcego marzenia, idyl-  
licznej wsi, młodej Ameryki. Idealem  
jest oczywiście zgodę na estetyczną  
przyrodę, dzięki której otrzymamy się o  
surrealnym wymiaru codziennego życia.  
Taką bowiem możliwość daje owo  
„podglądanie” świata poprzez feerij-  
jednej barwy lub tonu: kolor emanuje  
własnym napięciem wewnętrznym i bu-  
duje na zewnątrz wywołane sprze-  
żności.

Malarstwo M. Kuźniarowej pulsuje  
skłóceniem między pozornym spokojem  
rejestrowanych faktów, zdarzeń, obec-

wiem, że rozpoczęła się jego podróż  
w życie. Własnie ten obraz mógłby lo-  
gicznie rozpoczynać ekspozycję: w miarę  
rozwoju pojawiałyby się wizerunki  
Kasi, Pawła i wszystkich dzieci, także  
tych umęczonych w czasie wojny, wre-  
szcie dzieci-pajacyki, nierzalane i baj-  
kowe pory roku, jabłka i gruszek rosną-  
ce na jednej galezi, a także egzy-  
stencjalne lęki zaklęte w drzewa.  
Zwieńczeniem drogi byłby wstrząsają-  
cy „Kres” z samotną starością, prze-  
mijającą, prawie ostateczną. Dobrze, iż  
te na zewnątrz ewokowane strachy zam-  
knęły się, a wizja człowieczeństwa,  
w ostatnich pejzażach, rozjaśniła się.  
Oby ta jasna i ciepła droga do Edeu  
trwała jak najdłużej: droga artystki i  
nas, widzów.

**MAŁGORZATA  
KOWALSKA-MASŁOWSKA  
Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ**



## Gorzowska oficyna

Nie jest moim zadaniem przedstawić  
nie dorobku GTK w ciągu minionego  
dziesięciolecia. Chciałbym zająć się jed-  
ną tylko dziedziną aktywności Towar-  
zystwa — działalnością wydawniczą.  
Mysł o podjęciu podobnej działalności  
zrodziła się już w grudniu 1975 r. na  
I Sejmiku GTK. Motywowało ją za-  
równo koniecznością upowszechniania  
w społeczeństwie, miasta i regionu wie-  
dzy o przeszłości oraz teraźniejszości  
naszych ziem, jak i potrzebą stworze-  
nia możliwości debiutu ludziom para-  
jącym się twórczością literacką, a wy-  
kazującym znamiona talentu. W ten  
sposób zmaterializowała się idea biblio-  
teki GTK, która podzielono na część  
literacką i regionalną. Założono przy-  
tym, że w dziale literackim nie będą  
drukowane utwory pisarzy-członków  
ZLP, którzy uprzednio opublikowali  
już książki w innych wydawnictwach.  
Wyjątki odnosiły się do sytuacji, w  
której autorzy już znani przedstawiali

teksty o tematyce związanej z regionem  
gorzowskim. Na tej zasadzie wydano w  
1982 r. zbiory wierszy Zdzisława Mora-  
wskiego („Strofy o dziewczynie”) i Janu-  
sza Oleczaka („Okolice skwierzyńskie”).  
Aby uniknąć ryzyka błędów, jako cia-  
ło doradcze powołano Komisję. Wyda-  
wniczą GTK. Jej zadaniem jest wstęp-  
na kwalifikacja jakości tekstów oraz  
podjęcie decyzji o ich dalszych losach.  
W przypadku, gdy komisja wysoko oc-  
eniła w tekstach wartości literackie  
lub poznawcze, kwalifikowała je — do  
dalszego opracowania, które oznaczało  
przesłanie ich do co najmniej dwu re-  
cenzentów. Gdy opinie rzeczoznawców  
również okazywały się pozytywne,  
rzecz szła do druku — pod kierunkiem  
wskazanego przez komisję redaktora.  
Komisja Wydawnicza GTK kieruje pi-  
sarz, członkiem ZLP — Witold Niedź-  
wiecki, a w jej skład wchodzi: Krysty-  
na Kamińska, Stefania Kiebasiewicz,  
Stefan Kowalski, Anna Makowska-Cie-  
leń (sekretarz biura GTK), Mieczysław  
Miszkina, Zenon Nowopolski, Jerzy Si-  
kora i Bogdan Tokacz. Natomiast re-  
cenzentami pozycji Biblioteki Literac-  
kiej GTK byli lub są znani krytycy i  
znawcy poezji: Feliks Fornalczyk z Poz-  
nań, Andrzej K. Waśkiewicz z Gdań-  
ska i Andrzej Tchórzewski z Warsza-  
wy, Aleksander Soszyński z Wrocławia,  
Janusz Kowalski i Zenon Łukaszewicz z  
Zielonej Góry oraz Irena Dowgielewicz  
i Zdzisław Morawski z Gorzowa. Wyda-  
je się, iż to podwójne sito umożli-  
wia odsianie ziarna od plew rzeczy  
wartościowych i zasługujących na druk  
— od tekstów mało wartościowych, poz-  
bawionych wartości artystycznych.  
Najważniejszym dorobkiem wydaw-  
niczym oficyny stały się arkusze  
poetyckie, drukowane na dobrym

papierze, uzupełnione grafiką i przy-  
wołującą okładką. Wyszło ich łącznie —  
od 1979 r. do dziś — dwadzieścia, a kil-  
ka dalszych jest w przygotowaniu. Nie-  
którzy autorzy doczekali się opubliko-  
wania dwu zbiorów. Są nimi Władysław  
Łazuka i Nina Pawłowska. Niedługo  
go dotychczas zapewne do nich Kazimierz  
Furman, którego drugi tomik (po  
„Kształceniu pamięci” z 1980 r.) zos-  
tał skierowany do ocen recenzentów.  
Już w 1986 r. ukazał się kolejny zbio-  
rowy tom gorzowskich almanachów poety-  
ckich „Nauka tańca”, prezentujący wiersze  
autorów o różnej randze poetyckiej,  
dorobku twórczym i poziomie warsztatu.  
Zbiór jest interesującym przeglądem  
możliwości autorów piszących  
w Gorzowie i województwie.  
Wśród wydanych pozycji poetyckich  
GTK-owskiej serii wiele arkuszy zasłu-  
guje na uwagę ze względu na prezento-  
waną w wierszach oryginalność i świe-  
żość spojrzenia, niewątpliwie talent, wi-  
doczny w całości lub w części opubli-  
kowanych utworów. Podobają mi się  
szczególnie tomiki Niny Pawłowskiej  
„Drzwi otwarte” (1979), Beaty Ananie-  
wicz-Schmidt „Młosteczko B” (1984),  
Władysława Łazuki „Tamto wszystko  
za tobą” (1980) i „Czytanie z natury”  
(1983). Obiecyującym talentem poety-  
ckim jest Piotr Bukartyk, autor tomiku  
„Gwoździe” (1985), Czesław M. Czyż,  
autor tomiku „Tak się dziś wierszy nie  
pisze” (1984), jest już doświadczonym  
poetą. W serii poetyckiej opublikowa-  
no, nagrodzony w konkursie MON, poe-  
mat Florian Nowickiego — „Z bieli i  
czerwieni” (1983). Wydano też utwory  
poetyckie stale mieszające na wsi i  
piszącej o tematyce wiejskiej — Stani-  
sławy Plewińskiej w zbiorze „Kłosy”  
(1981). Spośród tych autorów Władysław  
Łazuka i Florian Nowicki stali się  
członkami Związku Literatów Polskich.  
(F. Nowicki — niestety — krótko przed  
śmiercią), zaś Stanisława Plewińska jest  
członkiem kandydującym.

Zapewne, niektórym z autorów znu-  
dził się wierszowanie, porzucił poezję.  
Inni przekonali się, że jeden tomik po-  
 prostu wyczerpał ich twórcze możliwości,  
ci, bo powiedzieli w nim już wszystko.  
Ale kilka osób zapewne dowiedzie swo-  
ich twórczych możliwości, utrwali na  
dłużej w owocnych próbach literackich.  
Ostatnia uwaga dotyczy kilku auto-  
rów z kręgu Robotniczego Stowarzy-  
szenia Twórców Kultury, którego sek-  
cja literacka przejawia sporą aktyw-  
ność. Dwójka autorów z tego kręgu,  
reprezentująca autentyczne środowisko  
robotnicze, emerytowana prądką i apa-  
ratowy ze „Stilonu” — Maria Przyby-  
lak i Kazimierz Jankowski, doczekali  
się publikacji arkuszy poetyckich w  
wydawnictwie GTK i nadal pisze, uc-  
czestniczy w konkursach literackich,  
publikuje.  
Wbrew pozorom — wydawnictwa po-  
etyckie GTK mają nie tylko regional-  
ny zasięg. Dowodem są nie tylko przy-  
jęcia „naszych” debiutantów do ZLP  
i inne przejawy ich rosnącej popular-  
ności. Wydawnictwa rozchodzą się szyb-  
ko, niemal natychmiast docierają do  
osrodków opiniotwórczych, czego przy-  
kładem może być niezwykle przychyln-  
e przyjęcie wierszy Stanisławy Plewiń-  
skiej, której biografia, wiersze i osobis-  
te wypowiedzi drukowała niemal cała  
prasa polska — od „Trybuny Ludu” do  
„Gromady Rolnika Polskiego” i „Prze-  
glądu Kulturalnego”. Podobne sukcesy  
odnotowuje Kazimierz Jankowski.  
W regionalnej części gorzowskich pub-  
likacji są również do odnotowania war-  
tościowe pozycje. Wyszła drukiem mo-  
nografia poświęcona Międzychodzkiemu  
Towarzystwu Wiosłarskiemu oraz za-  
ręcz biograficzny życia i działalności  
sportowego wielkiego polskiego lekkoat-  
lety w okresie międzywojennym, Józef  
JA NOJEGO. Wydano bogaty i dobrze  
udokumentowany „Gorzowski Informa-  
tor biblioteczny”, a na publikację cze-  
kają tomy poświęcone folklorowi Zie-

mi Międzychodzkiej i wspomnieniom  
gorzowskich pionierów. Ten ostatni jest  
połosiem konkursu, ogłoszonego przez  
GTK w latach 1979-80. Przygotowano  
też do wydania wspomnienia znanego  
plastycy z Barlinka — Romany Kas-  
zysze z jej artystycznej-pedagogicznej  
pracy.  
Udanym wydawnictwem była też księ-  
żka „Tamte polowanie” (1983), poświę-  
cona pamięci Włodzimierza Korsaka,  
przyrodnika i pisarza, który ostatnie 30  
lat życia związał z Gorzowem. Prezen-  
tuje ono rys biograficzny, ocenę twór-  
czości oraz wybór tekstów autora pod  
redakcją polonistki i dziennikarki „Zie-  
mi Gorzowskiej” Krystyny Kamińskiej.  
Książka wyszła w związku ze zorgani-  
zowaną jesienią 1983 r. sesją naukową  
poświęconą pamięci autora „Leśnego og-  
niska” i pioniera ochrony przyrody w  
Polsce. W przygotowaniu znajduje się  
też publikacja mająca przypomnieć cz-  
telnikom postacię wybitnych, a niezwy-  
cych już gorzowian (z miasta i woje-  
wództwa), których działalność w szcze-  
gólny sposób przyczyniła się do utrwa-  
lenia polskości regionu i jego osiągnięć  
w Polsce Ludowej.  
Często interesująca i oryginalna cz-  
tę graficzna zawdzięczają publikacje  
GTK współpracy cenionych w środowis-  
ku plastyków: Romany Kaszysze, Boles-  
ława Kowalskiego, Wiesława Streb-  
ki, Bogusława Jagielly. Gorzowska se-  
ria wydawnictw GTK dobrze przysłuży-  
ła się nie tylko kulturze regionu. Ujaw-  
nia kilka talentów pisarskich i ożywi-  
ła ambicje literackie. Wzbogaciła wie-  
dzą o przeszłości regionu, jego życiu spo-  
łecznym i kulturze, ocaliła od zapom-  
nienia to, co było warte i godne pamię-  
ci.

**MECZYSLAW MISZKIN**

## W Budachowie - jubileusz

Halina Rypuła jest gospodynią Klubu Prasy i Książki w Budachowie w gminie bytnickiej. Pracuje tam od dziesięciu lat, a więc od chwili otwarcia placówki. W międzyczasie zdobyła praktykę, ukończyła podstawowe szkolenie dla gospodarzy klubów i uzyskała pełne kwalifikacje zawodowe, co uprawnia ją do pobierania dodatku za prowadzenie działalności kulturalno-oświatowej. Dodatek jest tym bardziej zasłużony, że pracuje sama, bez animatora kultury. Kiedyś był w klubie animator, ale odszedł i H. Rypuła została zdana na własne siły i pomoc młodzieży.

— Jest mi ciężko, bo to i sprawy handlowe i działalność merytoryczną, a każda z tych form pracy jednakowo ważna. Jest bibliotekarka, spróbuję z nią porozmawiać, jeśli się zgodzi, będzie dobrą animatorką kultury. W klubie przeprowadziliśmy remont. Zawdzięczamy go naczelnikowi gminy Bytnica — Antoniemu Pietrzakowi. Jest to wspólny człowiek; dość często bywa w naszym klubie, interesuje się naszymi potrzebami i tym, co robimy.

Rzeczywiście, klub robi bardzo dobre wrażenie. Trzyizbowe pomieszczenie,

wydzielona i ładnie umeblowana czytelnia, sala kawiarniana i zaplecze magazynowe. Wszystko to wyposażono w nowoczesne meble: ławy, stoliki, szafy, regały. Do dyspozycji klubu pozostaje też duża sala widowiskowa, gdzie odbywają się turnieje tenisa stołowego i występują zespoły artystyczne przybywające z zewnątrz. Jeśli jeszcze dodamy do tego, że placówka posiada centralne ogrzewanie, wodę bieżącą ciepłą i zimną, to otrzymamy obraz na wskroś nowoczesnego wiejskiego klubu.

— Mam u siebie sporo sprzętu. Magnefony szpulowe, magnetofon stereo foniczny, radio stereo, telewizor do odbioru programu w kolorze, który otrzymaliśmy w nagrodę za dobrą pracę z Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze. Jest także gra telewizyjna. Klub posiada również instrumenty muzyczne, na których grają czterech członkowie naszego zespołu muzycznego „Wamp”: Janusz Fleńko, Waldemar Sadurski, Jarosław Trawiński i Andrzej Rosiński.

W pracach klubowych pomaga mi koło ZSMP, którego przewodniczącym jest Ryszard Kamiński. Działa też rada klubu z przewodniczącym Stefanem Wesołowskim, z zawodu plastykiem. Sekretarzem jest Stefania Popielarz, a człon-

kami rady: Tadeusz Sieradzki, Stanisław Stempel, Zbigniew Rypuła i ja, Halina Rypuła. Na comiesięcznych posiedzeniach społecznej rady klubu ustalany jest ogólny program placówki i harmonogram działalności kulturalno-oświatowej na każdy następny miesiąc.

Aktualnie działają w klubie następujące sekcje: sportowo-rekreacyjna, dziecięca sekcja plastyczna i sekcja fotograficzna. Sprzęt dla potrzeb tej ostatniej sekcji zakupił nam Oddział RSW w Krośnie Odrzańskim.

Na 10-lecie klubu wystąpi zespół teatralny. Będzie to dokładnie 22 lipca tego roku. Serdecznie zapraszamy na uroczysty jubileusz naszej placówki kulturalnej.

Bardzo ładnie i przejrzystie prowadzona jest kronika klubu. Wszystkie ważniejsze wydarzenia zostały udokumentowane zdjęciami wykonanymi przez własną sekcję fotograficzną. A było co fotografować. Miał miejsce i czynny społecznie, jak porządkowanie obejścia, zrobienie cementowej ścieżki do obiektu klubowego, i były też prace polowe młodzieży przy zbieraniu ziemiaków u ludzi starszych, którzy takiej pomocy potrzebowali. Również, w czyimś społecznym został zbudowany amfiteatr dla potrzeb mieszkańców Budachowa, a niemały był w tym udział młodzieży skupionej wokół klubu i członków ZSMP.

Klub jest organizatorem licznych imprez okolicznościowych. Urządzane są spotkania z kombatantami II wojny światowej oraz wystawy. Ostatnia nosiła tytuł „Twórczość Stefana Żeromskiego”.

Klub w Budachowie może być śmiało zaliczony do dobrych wiejskich placówek kulturalno-oświatowych na tym terenie. Zważywszy że ma doskonałe warunki lokalowe, przy bardziej intensywniej działalności merytorycznej mógłby być klubem produkcyjnym.

ZENON CZARNECKI



\* Ochotnicze hufce pracy nie tylko przygotowują młodzież do wykonywania zawodu, lecz i organizują życie kulturalne swoich wychowanków. W Gorzowie odbył się Wojewódzki Przegląd Amatorskiej Twórczości OHP. Wzięły w nim udział reprezentacje 7 hufców, prezentując zespoły instrumentalne, teatry żywego słowa, prace plastyczne. Do udziału w eliminacjach strefowych, które odbędą się w Słupsku, jury zakwalifikowało zespół instrumentalno-wokalny „Junak” ze Strzeleca Kraja i teatr żywego planu z Barlinka.

\* W sali WDK odbyły się wojewódzkie eliminacje XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Jury pod przewodnictwem Antoniego Baniukiewicza, dyrektora Teatru im. J. Osterwy, najwyżej oceniło: Jana Stefaniaka z Kostrzyna, Joannę Puziarską z Gorzowa, Jacka Braciaka ze Strzeleca Kraja i Piotra Siewruka z Myśliborza. Zaś w klubie „Pod Filarami” odbyły się eliminacje do Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy poezję” w Olsztynie. Jury wstępnie zakwalifikowało: Wojciecha Kozłowskiego z Zielonej Góry i Mirosława Gancarza z Zagania. Być może do Olsztyna pojedzie także Piotr Siewruk, który wcześniej musi przebrnąć przez eliminacje w Gdańsku.

SWIEBODZIN. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Swiebodzińskiej i Swiebodziński Dom Kultury im. Janka Krasickiego od kilku lat wydają „Zeszyty Swiebodzińskie”, poświęcone przeszłości i teraźniejszości miasta i gminy. W tym roku ukazał się zeszyt 6, praca Andrzeja Jermaczka i Zbigniewa Urbańczyka pt. „Fauna kręgowców Pojezierza Lubuskiego”; nakład 700 egzemplarzy, cena 90 zł.

SULECHOW. Odbyły się eliminacje wojewódzkie VI Ogólnopolskiego Konkursu Chórów Szkolnych i capella. Jury pod przewodnictwem prof. Józefa Pawłowskiego z Warszawy wysłuchało 16 chórów szkolnych. W grupie chórów studiów nauczycielskich pierwszą nagrodę zdobył chór Studium Nauczycielskiego w Sulechowie. Wśród chórów szkół ponadpodstawowych najlepszy okazał się chór Zespołu Szkół Elektronicznych w Zielonej Górze, a w grupie chórów szkół podstawowych — chór Szkoły Podstawowej nr 8 w Żarach. Spośród chórów jednogłosowych jury najwyżej oceniło chór Szkoły Podstawowej nr 18 w Zielonej Górze.

ZIELONA GÓRA. Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru zielonogórskie Towarzystwo Kultury Teatralnej zorganizowało spotkanie profesjonalistów i amatorów, podczas którego przypomniano dzieje twórczości teatralnej na Ziemi Lubuskiej. Zasłużeni działacze: Józef Michałowicz, Piotr Klucinski, Halina Lubisz, Kazimierz Rodak i Andrzej Romanek otrzymali dyplomy Zarządu Głównego TKT.

\* Kierownikiem artystycznym Teatru Lubuskiego im. Leona Kruczkowskiego został Krzysztof Rotnicki, lat 39, ostatnio reżyser w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym w Koszalinie. Niebawem wojewoda zielonogórski podejmie decyzję co do obiadu funkcji dyrektora naczelnego scen zielonogórskich.

\* W tym roku przypada 30-lecie zielonogórskiej orkiestry symfonicznej. W 1953 r. powstała w Zielonej Górze Filharmonia Robotnicza, w 1956 utworzono Stowarzyszenie „Orkiestra Symfoniczna”, przekształcone następnie w Filharmonię Zielonogórską im. Tadeusza Bairda. Z okazji jubileuszu od stycznia br. muzyka filharmonii biorą udział w koncertach organizowanych w województwie zielonogórskim i ościennych. Główny koncert jubileuszowy odbędzie się 23 maja w Zielonej Górze. Melomani wysłuchają utworów Bairda, Chopina i Liszta w wykonaniu Lidii Grychtolówny, orkiestry symfonicznej filharmonii, Chóru Akademickiego WSP i Chóru Dziewczęcego PSM. Koncert będzie powtórzony w Gorzowie i Zaganiu.

\* Obchodzące w tym roku swoje czterdzieste Lubuskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego zorganizowało X Lubuskie Dni Kameralistyk. Dni zainaugurowano koncertem w sali Muzeum Ziemi Lubuskiej w wykonaniu nowo powstałego zespołu kameralnego „Zielonogórskie Trio Fortepianowe” (Stanisław Czernak — skrzypce, Joanna Burmecha — wiolonczela i Ryszard Zimnicki — fortepian), składającego się z muzyków filharmonii i wykładowców Wyższej Szkoły Pedagogicznej. W Dniach wzięli ponadto udział: Warszawski Kwartet Smyczkowy „Camerata”, Lubuski Kwartet Smyczkowy, Kwartet Instrumentów Błażanych oraz soliści.

\* W radomskim finale XXV Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej wzięli udział reprezentanci województwa zielonogórskiego. Dwoje z nich zakwalifikowało się do XXI zielonogórskiego Festiwalu Piosenki Radzieckiej — Alina Pleban z Żar i Romuald Kasperowicz z Zagania. Być może na estradzie zielonogórskiej zobaczymy jeszcze Jolantę Bubnowską z Zielonej Góry, która bardzo podobną się publiczności radomskiej. W tej sprawie decyzję podejmie jury po zakończeniu finałów w Inowrocławiu i Tarnowie.

ZAPROSILI NAS: Międzyorganizacyjny Dom Kultury „Polar” we Wrocławiu na wystawę rysunków satyrycznych Leszka Hermanowicza; Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze na otwarcie wystawy malarstwa Małgorzaty Wołszczan-Kuźniar; Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze na otwarcie wystawy grafiki Lucyny Pawlikowskiej; Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich — Instytut Pamięci Narodowej do udziału w sesji „Stan, potrzeby i perspektywy badań okresu II wojny światowej na środkowym Nadodrzu”. Dziękujemy.

## nadodrze

DWUTYGODNIE, POŁOŻENIE, KULTURALNY  
ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-058 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon redakcji: naczelnicy i sekretariat — 708-35, sekretarz redakcji — 39-13 oraz centrala — 46-61 do 7 łączny telefon wewnętrzny. Telex — 043-2253.

Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelnicy), Małgorzata Kowalska-Masłowska (stażystka), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. nacz.), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski.

CHOSZCZNO. Oddanie do użytku po drugim remoncie domu kultury spowodowało, że miasto to jest częstym miejscem międzywojewódzkich eliminacji rozmaitych festiwali i przeglądów ruchu amatorskiego. W marcu odbył się Międzywojewódzki Przegląd Piosenki Harcerskiej „Siedlce 86” z udziałem przedstawicieli województw: gorzowskiego, legnickiego, leszczyńskiego, poznańskiego, szczecińskiego i wrocławskiego. Do Siedlicz zakwalifikowano: zespół wokalny „Jelonkowe różki” z Krepic w woj. wrocławskim, zespół wokalny „Astor” ze Szkoły Podstawowej nr 7 w Gorzowie, zespół wokalny „Uśmiech” z Katow. Wrocławskich i zespół wokalny ze Studium Nauczycielskiego w Gorzowie.

GORZÓW. Biuro Wystaw Artystycznych jest organizatorem ciekawych ekspozycji i spotkań. Niedawno gorzowianie oglądali portrety Witkacego, potem dzieła Władysława Hasiora, Jerzego Dudy-Gracza, Karłowa, Chromego, Władysława Ostrowskiego. Teraz BWA zorganizowało II Biennale Sztuki Sakralnej. Na ekspozycję składają się obrazy olejne, medalierstwo, tkaniny, grafiki znanych polskich twórców.

## Galeria ekslibrisu w Żarach

Dokończenie ze str. 3

ZTK zapowiada wydanie roczników stanowiących resume prezentowanych zbiorów. Takie opracowanie będzie znaczącym wkładem w dokumentację stanu kolekcji polskich.

Warto podkreślić, że Żarskie Towarzystwo Kultury stawia przed nowo otwartą galerią zadania szersze, wycofując poza wystawienictwa. Świadectwem tego jest ogłoszenie ogólnopolskiego konkursu na ekslibrisy dzieci i młodzieży. Celem konkursu jest przybliżenie młodym ludziom idei sztuki ekslibrisowej, jej formy i treści kształtującej wrażliwość na piękno, estetykę, miłość do książki. Konkurs obejmuje twórców znaku książkowego w wieku od 15 do 17, a warunkiem uczestnic-

wa jest wykonanie ekslibrisów, w dowolnych technikach graficznych i przesłanie ich w terminie do 30 czerwca 86 na adres Miejskiej Biblioteki Publicznej w Żarach, ul. Wrocławską 11. Szczegółowy regulamin konkursu jest dostępny w bibliotece.

Plan konkursu zostanie zaprezentowany na wystawie, a dla uczestników przewidziano nagrody. Zamierzeniem organizatorów konkursu jest przekształcenie tej imprezy w biennale ekslibrisu dzieci i młodzieży. Jest to więc kolejna inicjatywa kształtująca oblicze kulturalne Żar.

Zainteresowanie ekslibrisem w Żarach datuje się od wielu lat. Pierwsza wystawa ekslibrisowa odbyła się tu w roku 1977. Prezentowano ekslibrisy morskie ze zbioru Seweryna Knapa z Dobrzynia. W tym samym roku powstał pierwszy znak książkowy dla biblioteki miejskiej. Ekslibris autorstwa Henryka Domaradzkiego był darem numizmatyków na 30-lecie księżnicy miejskiej. Takie były początki. W latach następnych zorganizowano szereg wystaw ekslibrisu. Pokazano znaki Stanisława Parry, Leszka Frey-Witkowskiego, Eugenii Siejkowskiej. Kolekcję ekslibrisów prezentowała Miejska Biblioteka Publiczna, Józef Boguszewski, Halina i Zdzisław Dąbkowie. Motywy muzyczne w ekslibrisie, z okazji Roku Szymanowskiego, prezentował w Żarach Józef Tadeusz Czosnyka. Żarskie kolekcje ekslibrisów prezentowano na imprezach polsko-niemieckich w Gubinie, w Żagańskim Pałacu Kultury i w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

W listopadzie 1982 roku powstało Żarskie Koło Miłośników Ekslibrisu, skupiające kilkunastu twórców, zbieraczy i przyjaciół znaku książkowego. Członkowie Koła wstąpili do nowo powstałego Polskiego Towarzystwa Miłośników Ekslibrisu.

W Żarach tworzą ekslibrisy: Stanisław Antosz — artysta plastyk, Henryk Domaradzki — nauczyciel, Anatol Jabłoński — robotnik, Jan Wiktor Tyra — nauczyciel, Stanisław Gruber — drukarz.

W roku 1985, w zbiorach Archiwum Państwowego w Zielonej Górze odkryto najstarszy ekslibris żarski. XVIII-wieczny znak książkowy wykonany dla bogatego kupca z Żar — Petriego.

Zarys tworząc galerię ekslibrisu ponownie zaznaczyły się na mapie kulturalnej nie tylko Nadodrza.

ZDZISŁAW DĄBEK

## Dosiadanie Pegaza

Za swoje utwory otrzymał drugą nagrodę w turnieju jednego wiersza podczas listopadowego Turnieju Poetyckiego o Pierścieniu Klingi 85. Przewodniczył tej imprezie jako juror poeta Tadeusz Słowiak. Kolejnym wyróżnieniem Jacka była nagroda w ogólnopolskim konkursie poetyckim, zorganizowanym w tym roku przez Miejski Ośrodek Kultury w Karpaczu. Również teraz Jacek zakwalifikował się do ogólnopolskiego turnieju poetyckiego — w kolejnej edycji konkursu poetyckiego — jako przedstawiciel naszego województwa.

Mama Jacka — Maria Sut, była znana w środowisku swiebodzińskim jako wytrwała recytatorka. Otrzymała Złotą Odznakę Recytatora. Pracowała pod kierunkiem Kazimierza Rodaka. Jacek jest uczniem „ogólniaka” im. H. Sienkiewicza w Swiebodzinie. Gra w zespole muzycznym, działa w teatrze poezji w swiebodzińskim Domu Kultury oraz należy do Koła Młodych Literatów „Kierunki” przy Oddziale Miejskim Stowarzyszenia Pax w Swiebodzinie.

Jacek wyniósł z domu obcowanie z literaturą, poezją, teatrem. Muzyka stała się dla niego wspaniałą inspiracją do udzielania się społecznego. Muzyka wywiodła z niego pisanie wierszy. Muzyka, wprowadziła go w zabawę w teatr do tego stopnia, że chce na tej drodze stać się profesjonalistą.

W swojej poezji posługuje się kluczem, bardzo dużym skrótem myślowym. To powoduje, że jego poezja jest bardziej dla intelektualistów, niż dla tych wszystkich, którzy uważają czytanie wierszy tylko za rozrywkę. Jest to początek posiadania Pegaza: „co wiecie, że przez okna młodo ulomanych / a w lustrze / zwiotczałe rece / odmalowują sobie krwi /.../ stoją w nadziei

zapuszczenia korzeni / zielenie / i nie / i praktycznie nie ma znaczenia / że na wygnaniu ręki / i znam siebie / jak nigdy przedtem”.

Drugą ciekawą postacią w kręgu Koła Młodych Literatów jest Krystyna Mucha, rolniczka z Jemiołowa. Jej poezjowanie wpływa z doświadczeń zawodowych, codziennego znoju i zachwyty nad cyklicznym zegarem przyrody: „Chłopskie wiersze” — „już od rana / chodzą za mną wiersze / zwyciężają / chłopskie / proste / wiejskie / pełno ich wszędzie / w pachnących czeremchach / w makach kwitnących / w powojach / i ostach / w leśnych jagodach / i malinach / w jarzębnych czerwonych / tu każdy ptak śpiewa mi wiersze / szepeje woda w rzecę / a czasem, czasem czarna skiba się owie... / i te są najpiękniejsze”.

Krystyna ma na swoim koncie kilka drobnych publikacji. Znana jest w swoim środowisku jako ta, która oprócz ciekawej pracy, ma jeszcze ochotę na pisanie wierszy. Wspaniała to sprawa, gdy ludzie czują potrzebę otwarcia siebie. Stają się krzewicielami piękna słowa, inspiratorami dla innych.

Po anonisie prasowym w „Gazecie Lubuskiej”, w styczniu 1986 roku, przybyli na pierwsze spotkanie organizacyjne KML „Kierunki”, z potrzeby serca: Anieła Sabina Nowak z Ciorza, Krystyna Mucha z Jemiołowa, Halina Weclawska, Anna Jelak obie ze Swiebodzina, Piotr Kubalski z Łagowa Lubuskiego, Jacek Sut ze Swiebodzina. Również, jako ten, który doradzi, pomoże, zasługuje w poezji trafienie rozwijanie formalne — literat Gustaw A. Łapszyński. Od 1969 roku zawsze wspomagający w naszym środowisku początkujących poetów.

Ubiwanie myśli w słowa. Nicowanie na bieli kartek strof wierszy. Przychodzących jednym stosunkowo łatwo, drugim w znoju i w pocie intelektualnym. Pięknie zakwita róża na początku tej jakże często niewdzięcznej drogi... Niechaj te pióra nigdy nie ostygną. Niechaj wzbogacają, pobudzają twórczych do dalszych zmagani, innych inspirują do życia twórczego.

LESZEK FREY WITKOWSKI



W swoim liście chciałabym nawiązać do artykułu redaktora Alfreda Siateckiego pt. „Pewny krok” zamieszczonego w nr 6 Nadodrza. W wyżej wymienionym artykule dotyczącym działalności kół TPPR w latach 1980-86 red. Siatecki pisze między innymi: „... są szkoły, gdzie pracują nauczyciele języka rosyjskiego, a nie ma szkolnych kół na przykład w Gozdniczy, Babimoście... itp”. Chciałabym zapytać, skąd red. Siatecki autor artykułu, brał dane na temat działalności szkolnych kół TPPR? Pytam a to nie bez powodu. Jestem bowiem opiekunem Szkolnego Koła w Babimoście już dwa lata. Jest sze reg dokumentów potwierdzających istnienie i działalność naszego koła. Liczy ono 34 członków, którzy prowadzą szeroko zakrojoną działalność na terenie szkoły, uczestniczą w konkursach.

W minionym roku szkolnym członkini SK TPPR w Babimoście w XVI Konkursie Poezji i Prozy Rosyjskiej zajęła trzecie miejsce na sześciu wojewódzkim.

Tak więc koło istnieje i zaczyna mieć niemałe osiągnięcia, a jednym nieuzasadnionym stwierdzeniem można wyrzucić krzywdę dzieciom, które bardzo angażują się w jego pracę.

Opiekun SK TPPR w Babimoście mgr Beata Muńko

Komu wierzyć? Chyba Pani, bo i ten sukces w konkursie, i list do redakcji? A może zarządził Wojewódzki TPPR w Zielonej Górze, który opracował „Stan liczebny wojewódzkiej organizacji TPPR w 1985 r.”. Mam przed sobą ten dokument, czytam w nim, że w mieście i gminie Babimost nie istnieją szkolne koła TPPR.

A. S.

# namigi

„Wy miesiąc kwiecień Jesteśmy w temacie walki o czystość. Na dzień dzisiejszy złe jest wszędzie, nie wy łanczając stołówek. Tylko wy miesiącu marcu kontrol wymierzyła szel-dziesion mandatów. Wysłałyśmy pisma z ostrzeżeniami...”

Tekst powyższy zanotowałam tak, jak brzmiał na pewnym zgromadzeniu, nie powiem gdzie i przez kogo wygłoszony, bo to wstyd.

Gdzie indziej szef — magister informuje o zarządzeniu, które „weldzie w życie z pulową maja”. Ktoś spytał: z kim — czym? „Z pulową maja” — powtórzył magister.

W jeszcze innych okolicznościach pani dyrektor, zadowolona z siebie i wsłuchana w swój głos oznajmia, że „obiekt zostanie otwarty z połową maja”. Zdanie pani dyrektor o wyżej wymienionym obiekcie: „przyznaję, szczerze nie jest on właściwie usytuowany w sesie kilometrów i dojazdów”. Wyznaje na koniec, że jej stosunek do sprawy jest „co najmniej ambiwalentny”.

Pani docent w przeznaczonym dla nauczycieli telewizyjnym Nurtie stwierdza, że obarceni jesteśmy „temy samemu zadaniom domowym i wycho-wawczemu”.

# Mowa

W filmie o Małgorzacie Fornalskiej aktorka odtwarzająca główną postać na rzeka na „zmarznięte nogi”.

W programie ekonomicznym, utytułowana osoba parokrotnie powtarza do widzów: „wy związku z wzrostem cen...”

W niedzielę 6 kwietnia br. rano w radio ktoś omawia list słuchaczki „zy Ketrzyna” na temat oceniania przez pralnie chemiczne garderoby, zgodnie „zy stanem faktycznym”. Za chwilę włączam telewizor i trafiam na wypowiedź pana z tytułami naukowymi, który oświadcza, że przeprowadził „bardzo dużą liczebność doświad-czeń”.

We wtorek 8 kwietnia br. około godz. 5.00 zdarzyło mi się usłyszeć wykład specjalisty na temat „załamania rynku mlecznego”. Jego zdaniem „produkcja mleka jest pracochłonna w sensie użycia jednostki żywej”. Wspominał o „środkach mlekozastępczych” oraz o „wysokowystarzalności” i „zróż-nicowości”.

Wiele osób mówi „więzień” zamiast — więzienie. Jest zabawna piosenka (w wykonaniu, jeśli się nie mylę, Rudiego Szuberta tego od „Ilony córki rybaka”), wyśmiewająca ten błąd: „Sie dzie w tym więzieniu...” itp. Szkoda, że radio tak oszczędza to nagranie.

Inne popularne błędy, to „blomba” zamiast — plomba, „renament” lub

„remament” zamiast — remanent, „dziwi” zamiast — drzwi, „labelato-rium” zamiast — laboratorium, wspom-niana na wstępie „kontrol” zamiast — kontrola, „la pania” i „proszę pania”, zamiast — tę panią i proszę pani.

Telewizja podaje, że jedni ludzie do drugich wystosowali „postanie”. Jak słusznie zauważył kiedyś Marian Podkowiński, postanie służy do spania, a wyrazem właściwym powinno tu być — przesłanie.

Zmora prawdziwa jest „miesiąc kwie-cień, miesiąc maj” itp. „temat na dzień dzisiejszy” i to małe, ale rozpoznane „zy”; skąd się wzięło i dlaczego z taką lubością jest powtarzane?

„Złych przykładów dostarczają radio i telewizja. Aby się o tym przekonać wystarczy posłuchać uważnie programu przez godzinę lub dwie w ciągu dnia, lub radiowej „Muzyki nocą”. Ludzie dopuszczeni przed kamery i mikrofony mówią często tak, że poprzez błędy, zły akcent i złą dykcję, nie przedostaje się treść (Akurat w przypadku audy-eji radiowej pt. „Muzyka nocą” nie się na tym nie traci.)

Słowa — straszdyła, słowa napuszo-ne i użyte bez sensu, karkołomne spłoty wyrazów płyną z mównicy, zza stołów przydajnych, powtarzane są na zebra-niach i w rozmowach. Bronimy się przed nimi!

HALINA ANSKA

# Pochwała kumoterstwa

„Tam sama rodzinka. Ojciec, syn. Szwagier, szwagierka. Kumpie. Och, jak to cuchnie”. Tam musi się do piero „dziać”? Ciekawy obiekt dla orga-nów kontrolnych, dla prokuratora.

Ludzie, którzy o każdej porze są poli-tycznie „słusznymi”, dopatrują się wte-dy niezgodności z zaleceniami, co do do-boru kadry. Podejrzenia, komentarze. A gdyby firmie przytrafiły się jakieś in-cydenty, choćby niewielkiej wagi? Za-raz powstaje huk, wiadomo. Złowro-gie węzły trzeba przeciąć.

A jeśli firma funkcjonuje z sukcesami, ekonomicznymi i społecznymi? O, chyba jeszcze gorzej dla „swoich”. Jak im skrzydełka podciąć? Czy muszą akurat być w tyłu sprawach lepszy? Psują krew niezgłom takim, co nauczyli się nie-żle jeździć na wszelkich niemożnościach, niebezpiecznych tendencjach, politycz-nych niejasnościach.

Taka zgrana „rodzinka” i nikt się ni-mi nie zainteresuje? Ale to muszą być kombinatory wysokiej klasy. Tu infor-macja, tam donosik. A koronny zarzut: że sami swoi.

Z całą pewnością takie układy per-sonalne najbardziej przeszkadzają je-dnostkom miernym, często z tego powo-du zawistnym. Wszak chroniczny brak sukcesów, jakichkolwiek, może dopro-wadzić do szału. I wtedy zamiast kon-centracji na pracy, (co jest, bądź bywa, dosyć trudne), następuje „podjeżdża-nie” pod kogoś, bo to zajęcie znacznie łatwiejsze.

Wiem, że formalnie — nie jest mile widziane kompletowanie przez szefa za-łogi ze znajomych, przyjaciół, nawet dobrych fachowców, ale osób w jakimś stopniu wcześniej z nim „zgranych”. Nie zawsze też najlepiej widzi się żony w zakładzie, którym kieruje małżonek. Zrozumiałe, bo jak wtedy traktować współpracownicę, sekretarkę?

Sądzę, że powinniśmy wyzywać się praktykowanego tak często sposobu pa-trzenia na ludzi, którzy doskonale się rozumieją, potrafią ze sobą efektywnie współpracować. Całą sprawę „kumoter-stwa” upychamy do jednego worka, a jest to wielkie uproszczenie.

W każdym przypadku rzecz należy traktować — myślę — bardzo indy-widually, bez stereotypów. Niech sobie gdzieś tam szczęśliwie i spokojnie współdziałają ojcowie i synowie, bracia, koledzy, przyjaciele, szwagrowie i żony. Jeśli tylko w takim układzie znakomicie służy swojemu zakładowi, jeśli osiągała dobre wyniki ekonomiczne, jeśli tam nie działa mafijski system nie dopuszczania „obcych” a zdolnych.

Tępić zaś należy takie układy perso-nalne, kumoterskie, bez cudzysłowu, gdzie lekceważy się interes zakładu, in-teres społeczny, gdzie nie szanuje się ludzi, gdzie firma najwyżej kuleje. Nie wolno dopuszczać do tego, by ku-motry się dobierały kosztem innych.

Opowiadałem się więc za tym, aby lu-dzie — poczynając od szefów — kom-pletowali się w załogi nie zważając na bliskości i tradycje rodzinne, profesjona-lne, koleżeńskie, o ile tylko jest to wa-runek osiągania szeroko i dobrze roz-u-mianej efektywności i społecznego po-żytku.

STANISŁAW ŚWINIARSKI

# TO TYLKO SPORT

Zielonogórski kibic nie jest rozpiesz-czany. Latem pasjonuje się żużlem, zimą koszykówką i to praktycznie wszy-stko. Trudno bowiem podnieść się pięciobojem, który w żeńskim wydaniu, uprawia w Polsce kilkanaście osób. Nie zmienia to faktu, że tytuł mistrzyni świata Barbary Kotowskiej jest osiągnięciem wybitnym, a sama zawodniczka jest postacią nietuzinkową. Nie często bo-wiem się zdarza, by sportowiec w tak młodym wieku łączył w sobie sportowe mistrzostwo z nieprzeciętnym intelektem. Gdyby krakowskie „Tempo”, medal „Kalos et Kagathos” przyznawało w kategorii juniorów, bez wahania zgłosił-bym kandydaturę Kotowskiej.

Okazuje się, że uprawianie pięciobo-ju, dyscypliny trudnej, służyć może u-rodzie. Oto bowiem tytuł miss Ziemi Lu-buskiej zdobyła panna Violetta Tomasił, była wicemistrzyni Polski.

Ale zastawmy pięciobój. Wdzięczniej-szym poletkiem dla felletonisty może być piłkarski świat. Tu zawsze dzieją się ciekawe rzeczy. A to sprzedany mecz, a to innym razem przepukiony sę-dzia. Nie jest bowiem tajemnicą, że bez pomocy znanego wynalazku, Fenicjan, w naszych ligach po sukcesy się nie się-gnie. Wróble ćwierkają, że przed kilku-laty w jednym z lubuskich klubów, zro-zumiano tę prawdę i dzięki temu zespół utrzymał się w II lidze piłkarskiej. Bar-dzo chce natomiast obronić się przed spadkiem z ekstraklasy, nasz sąsiad zza miedzy — Zagłębie Lubin. Tamtejsi działacze znają swój fach i za zakupy zabrali się już od pierwszej wiosennej kolejki. Korzyść jest podwójna — nikt nie patrzy jeszcze na ręce i nie wesy-„niedziel cudów”, a poza tym, kupuje się po niższych cenach. Jeden z działaczy Lecha, wyznał otwarcie dziennika-rzowi, że wysłannicy Zagłębia byli w przeddzień meczu w Poznaniu, oferując za remis talon na... autokar. Gdy targu

nie dobito, rozpoczęły się podchody do piłkarzy. Chyba skuteczne, bo w Pozna-niu Zagłębie zremisowało z Lechem 1:1, a korespondent „Przeglądu Sportowego” określił całą tę zabawę, jako kpiny z ki-biców.

Wróćmy na lokalne podwórko. Tu również nie brakuje kwiatków. Dwaj po-łentaci — nowosolski Dozamet i zielono-gorska Lechia znajdują się w stanie o-twartej wojny. Na nie zdają się próby mediacji, jakie podjęła się „Gazeta Lu-buska”. Konflikt jest tak głęboki, że w Lechii na przykład, hasło Dozamet dła-ia jak płachta na byka. A oba kluby działają ponoć w tym samym wojewód-zwie i pod egidą wspólnego Okręgowego Związku Piłki Nożnej. W tych warun-kach obawiam się, że za rok oba zesp-o-ly będą znów walczyły w środku tabeli III ligi. Obym się mylił...

Najwięcej namietności budzi jednak żużel. W nowym sezonie, oba lubuskie kluby — Falubaz i Stal Gorzów wystę-pują osłabione. Z Falubazu odszedł do Unii Leszno Jan Krzystyniak (przez rok będzie pauzował), w Stali natomiast za-kończył karierę Edward Jancarz — le-genda polskiego żużla. Doceniając zasłu-gi tego znakomitego żużlowca, postano-wiono zorganizować latem dwa między narodowe turnieje, podczas których po-żegnano by Jancarza. Wybór padł na Zieloną Górę i oczywiście Gorzów. Nie-siety, zielonogórska publiczność nie zo-baczy w akcji czołowych żużlowców świata. Falubaz nie przyjął bowiem wa-runek proponowanych przez żużlową centralę, która zażądała dwóch milio-nów złotych haraczu. Nie dziwiwie że za-rządowi Falubazu, który po przeliczeniu kosztów, zrezygnował z organizacji tej imprezy. A szkoda, bo Gorzów i właśnie Zielona Góra były najlepszymi miejsca-mi do pożegnania świetnego zawodnika. Nie wstąpi, że poszłyby w kąt dawne gorzowsko-zielonogórskie konflikty. Wszak z areny schodzi jeden z najwięk-

szych żużlowców w historii tej dyscypli-ny w kraju. Główna komisja sportu żużlowego skasowała niemajął grosz na ubiegłorocznych imprezach jubileusz-o-wych Ivana Maugera. Teraz chce zaro-bić cztery miliony przy okazji pożegna-nia Jancarza.

No cóż, pecunia non olet...

MIECZYSLAW WIECKOWICZ

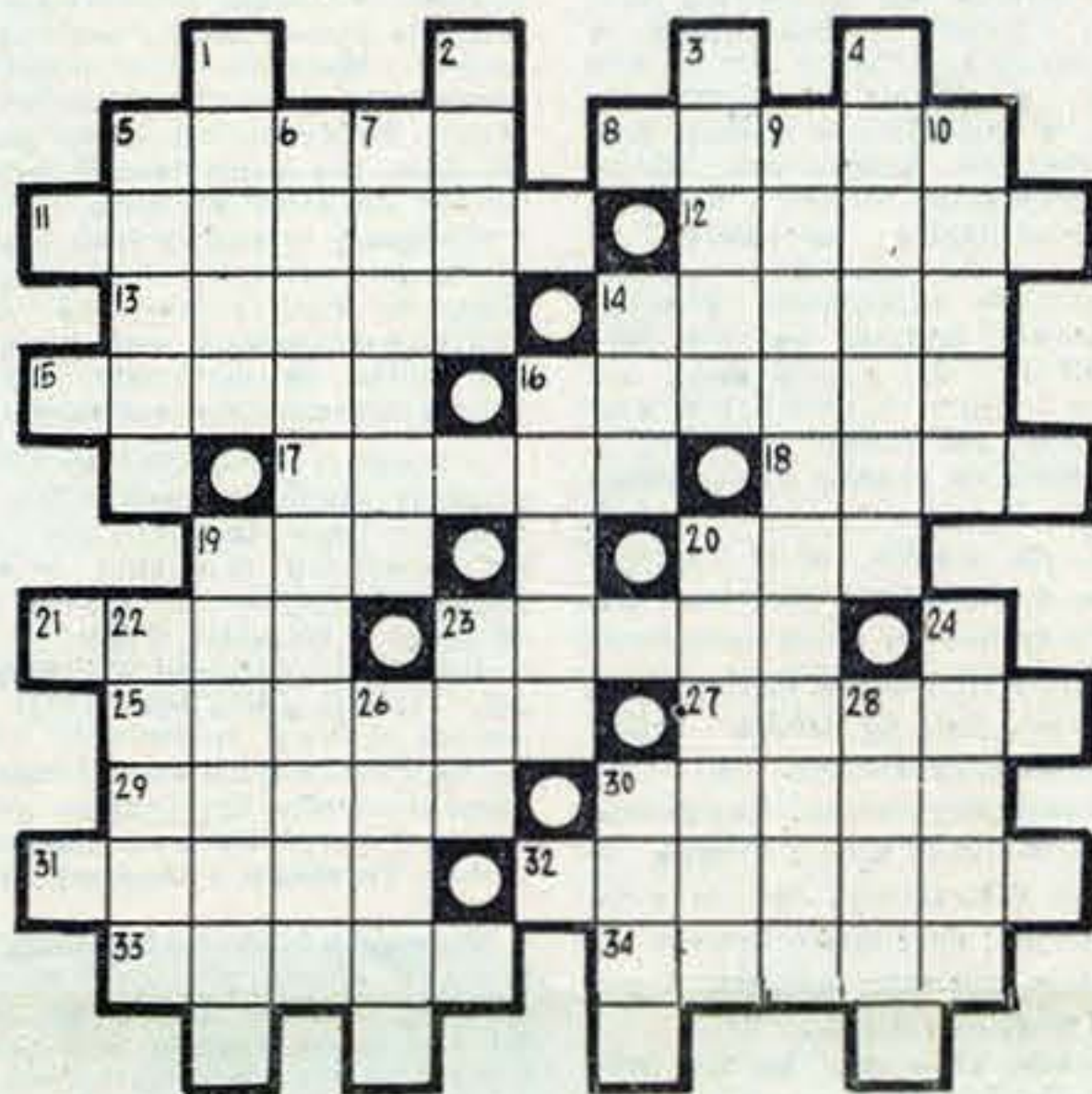


Rys. LESZEK HERMANOWICZ

# nadodrze

## Rozrywki umysłowe

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



KRZYZOWKA

(Oprac.: „SPATY”)

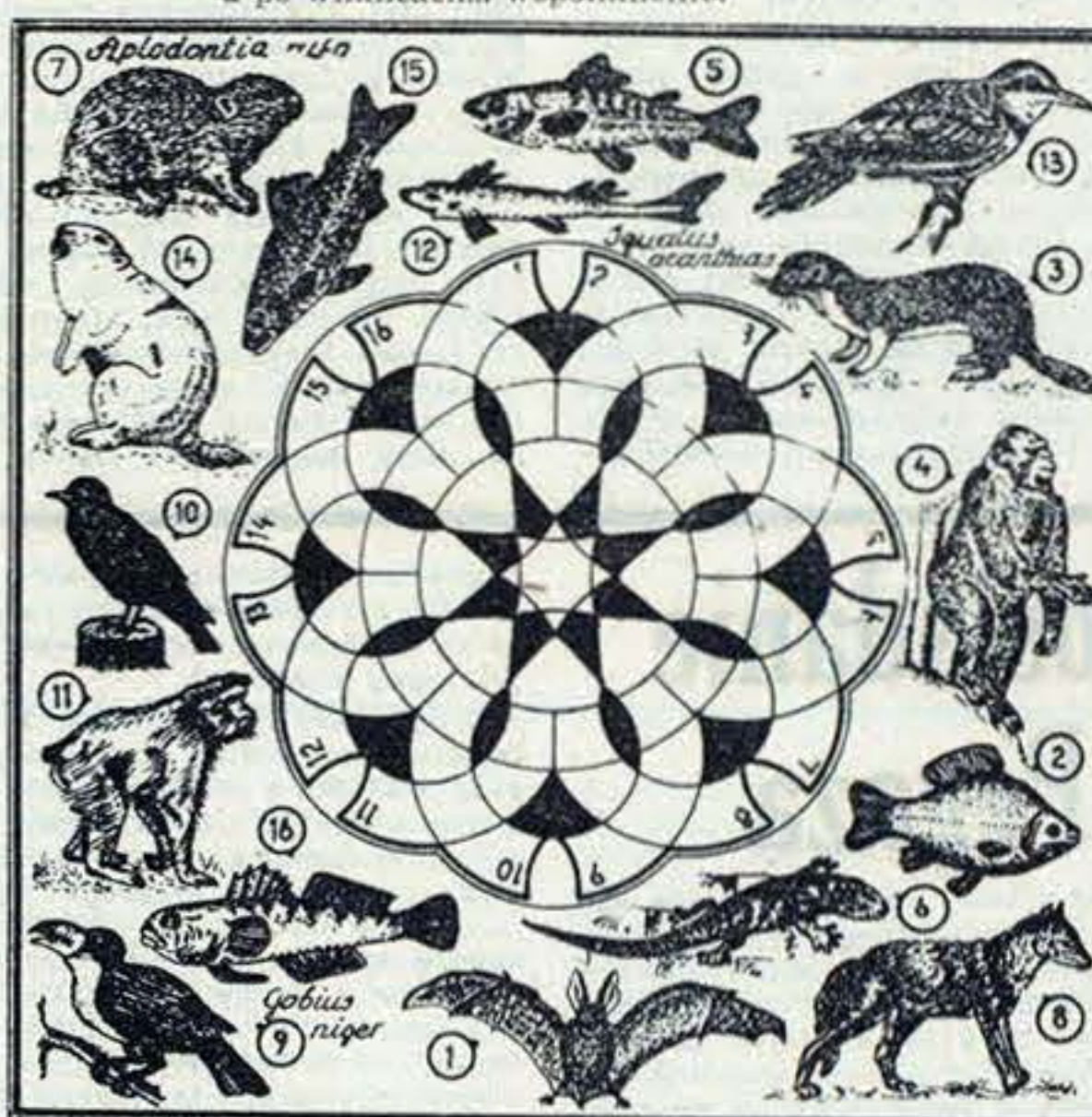
**POZIOMO:** 5. Miasto w Pakistanie w pobliżu granicy z Indiami. 8. Złota moneta za czasów Władysława Łokietka. 11. Do gry w tenisa stołowego. 12. Radykalny przywódca Wielkiej Rewolucji Francuskiej. 13. Świecenia kapłańskie lub biskupie. 14. Jadalna bulwa amerykańska. 15. Miasto w Iraku w rejonie działań wojennych. 16. Ozdoba ścienna. 17. Wielokrotny prezydent Szwajcarii. 18. Par Anglii. 19. Litera grecka. 20. Wódka jałowcowa. 21. Dzień, miesiąc, rok. 23. Elementarna jednostka języka. 25. Ma-szyna młyńska do obłuskiwania ziarna. 27. Lennik. 29. Gwiazdozbiór równikowy. 30. Chłystek. 31. Liturgiczna szata księdza. 32. Statek wodny ze skrzydłami. 33. Drugi ko-smonauta radziecki. 34. Okres, po którym powtarzają się zaciemnienia Słońca i Księżyca.

**PIONOWO:** 1. Narosł na liściach lub łodygach roślin. 2. Klub sportowy z Gdyni. 3. Rasowy koń. 4. Bieg dla wytrwałych. 5. Mała siatka na ryby. 6. Kancelaria. 7. U lwasz-kiewicz z młynem. 9. Substancja zmieniająca szybkość reakcji chemicznych. 10. Smacz-na przystawka. 14. Do niego na jednego. 16. Lekarz. 19. Azbestowo-cementowe pokrycie dachów. 20. Harcerski zespół wokalo-muzyczny. 22. Zbieranie przez psa ubitej zwie-rzyny. 23. Największe jezioro tureckie. 24. Łuk linii krzywej. 26. Kwiat wodny, grzy-bień. 28. Elegancki lokal. 30. Okres wstrząsliwości.

ZAGADKA

(Oprac.: „SLAWICZ”)

W kolorze winnego grona imponujące wzniesienie — ma sto tysięcy mieszkańców, a po winnicach... wspomnienie.



ROZETA OBRAZKOWA

(Oprac.: „ZEM”)

Odgadnięcie na podstawie rysunków wyrazi wpisać do diagramu tak, aby powstała rozeta. Dla ułatwienia rozwiązania podano pierwsze litery wyrazów w kolejności al-fabetycznej: B, B, B, G, G, G, K, K, K, K, L, L, M, S, T, Z.

Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie należy nakleić zamieszczony powyżej kup-on z zaznaczeniem ilości odpowiedzi — listy z rozwiązaniami trzech zadań weźmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości ok. 250 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie będą mieli szczęścia weźmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali dwa zadania — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 150 zł.

Rozwiązanie zadań z nr 4:

**Krzyżówka:** Poziomo: frykas, szlaka, zdobycz, obejma, lekarz, rozmowa, tytrada, batuta, dzidzia, pa-tyna, narzaz, palka, dzungla, kredens, szmat, dzewiot, okowita, autor. Pionowo: rubryka, kajdany, szarada, rocznica, wymoczek, szlaban, lokator, karotka, podest, trunek, neglit, aceton, ziemia, zaslaw, pasta, łomot, aktor.

**Zagadka:** Poziomo: szala, araks, Tamara, otok, opawa, asama, por, Natolin, arak, gama, stara, prut, kopt, taraban, par, agawa, opora, waga, stanik, Arany, akant. Pionowo: stopa, zapora, amara, law, aran, rosomak, atala, komi, skand, atar, Agata, karawan, tuba, oparin, Olawa, Praga, opona, trakt, agar, nota, pak.

**Rozeta obrazkowa:** Nagrody książkowe wylosowali: Ludmila Stawinska z Zielonej Góry (za rozwiązanie trzech zadań) oraz Roman Kalita z Myśliborza i Radosław Szafranski z Gorzowa.

Rozwiązanie zadań z nr 5:

**Krzyżówka z hasłem** — „Gust kobiet, pogody jesienne — wszystko to odmienne”. Logogryf: „Talent to namienie”.

**Witrowka tematyczna:** Afrodyta, Trapezus, Geymanik, Oktawian, Filomela, Kalliope, Posej-don, Hannibal.

Nagrody książkowe wylosowali: Helena Pieuch z Jasienki, woj. rzeszowskie (za rozwią-zanie trzech zadań) oraz Anna Dorosz z Pionki, woj. gorzowskie i Stefan Boliński z Turka. Gratulujemy. Nagrody wysłamy pocztą.

„TKKF zapewni Ci zdrowie, sprawność i dobre samopoczucie” — oto prawdziwe rozwiązanie krzyżówki świątecznej z nr 6 naszego pisma. Nagrody ufundowane przez Zarząd Województwa Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej w Zielonej Górze wylosowali: dres sportowy — Leszek Klimekiewicz z Kołczyna — przyrząd gimnasty-czny „UFO” — Danuta Walczak z Zielonej Góry — piłka siatkowa — Krystyna Sojka z Gło-gowa — wrotki — Władysław Rzeczek z Bielska Białej — ekspander — Katarzyna Mačko-wiak z Zielonej Góry. Gratulujemy.

Czytelników, którzy wylosowali nagrody prosimy o skontaktowanie się z ZW TKKF (ul. Chrobrego 67, w godz. od 8.00 do 18.45, tel. 34-33), zaś p. Władysław Rzeczek z Bielska-Bia-łej nagrodę wysłamy pocztą.